

Nam w tej chwili 67 lat i jestem emerytem. Pamiętam dobrze pewne chwile, np. wybuch wojny. Wojna przez dłuższy czas wisiła na włosku, ale ludzie już się otrząskali z tą sytuacją. Nagle, pewnego dnia, słyszymy jakieś strzały w powietrzu a nasz sąsiad, który właśnie podlewał ogródek, pan Bodak, mówi do mojego ojca: "Proszę pana, mówili w radiu, że jest wojna". O godzinie 11 zobaczyliśmy 4 czy 5 samolotów, które powoli leciały nad miastem. Jeszcze moja matka powiedziała: "-O, popatrz się, polskie samoloty! Niech wam Pan Bóg błogosławi!" W tym momencie zaczęło się bombardowanie. Pierwsze bomby spadły na okolice Dworca Głównego.

Mieszkaliśmy na Łyczakowie, na peryferiach miasta. To była dzielnica willowa, w której było rozlokowanych mnóstwo żołnierzy polskich z karabinami maszynowymi przeciwko samolotom. Sowieci wkroczyli do Lwowa nie 17.IX. ale jakieś 4 czy 5 dni później. Był wtedy piękny słoneczny dzień. Nagle słyszymy strzelaninę. Wpadają już, słyszę obcy język. Wrzucili nam na parter domu, do mieszkania, granat - chociaż tam nikogo nie było. Rozwalił on ścianę między jednym a drugim pokojem, rozwalił pianino. Dobrze, że nikogo nie było w domu. Wszyscy poszliśmy do schronu, bo był zapowiedziany nalot lotniczy. Sowieci wkroczyli bardzo natarczywie, bardzo ordynarnie. Tych polskich żołnierzy, którzy byli z karabinami maszynowymi, postrzelali, oni poginęli. W tym miejscu, gdzie stał karabin maszynowy przez długi czas potem była mogiła polskiego żołnierza. Tym się już nikt oficjalnie nie interesował, dbali o nią ludzie prywatnie.

Armia rosyjska wyglądała wówczas okropnie. /.../ To była armia zebreków. Karabiny na łańcuszkach, chodzili w gumowych kałozach. Wynędzniałe to bractwo, jakieś takie głodomory. /.../ Były takie autentyczne wypadki, że mieszkający już pewien czas

we Lwowie oficer sowiecki schodzi do mieszkania położonego o piętro niżej i mówi, że spadło mu mydło z umywalki na dół. Okazuje się, że się mył w muszli klozetowej. To była Azja, wkroczyła do nas Azja.

Po wkroczeniu Rosjan przede wszystkim jakoś dużo Żydów odżyło. Pamiętam takie rozmowy, takie okrzyki na ulicach: " - No, już nie będzie wsszej Polaki!" W sposób horrendalny naśmiewali się z Polaków. Oczywiście nie wszyscy, ale takich właśnie było bardzo wielu. To się zapamiętało. Oni byli jedną z nacji, która z Rosjanami szła ręką w rękę. Żydzi i komuniści ukraińscy. To byli ludzie, którzy nas, Polaków, denuncjowali. Ludność bardzo zubożała, bo w przeciągu kilku dni wszystko się odwróciło do góry nogami. Ruscy zaczęli wprowadzać porządek - bardzo ostry reżim. Już na samym początku było bardzo wiele aresztowań & - niewątpliwie był to jeden z elementów przemysłanego systemu zastraszania ludności. Potem to się trochę ustabilizowało.

Ja, żeby coś zrobić i mieć jakiś świątek papieru zapisałem się na kurs księgowości. Akurat <sup>maja</sup> w 1939 r. zdałem maturę. Kursu tego nie skończyłem. Później, żeby coś zarabiać, poszedłem do byłej "Książnicy - Atlas" a, która się nazywała wtedy "Gosgeolizdat" - Gosudarstwiennyje Geologiczeskije Izdatielstwo. Byłem tam kreslarzem u prof. Romera. Prof. Romer był jednym z tych ludzi nauki, którym Sowieci dali wolną rękę. On przyjmował tam wielu Polaków i między innymi mnie zatrudnił. Robiliśmy mapy. Powstała tam cała grupa Polaków, którzy się schronili w tej instytucji. Obok prof. Romera był tam też docent Uhorczak, który po wojnie został profesorem we Wrocławiu. Siedziałem tam do momentu, w którym zaczęło się już napięcie niemiecko-rosyjskie. W międzyczasie aresztowano moich kolegów, którzy poginęli w więzieniach. Ciążka wysłał rodzinom, pamiętam nawet pogrzeb na Cmentarzu Łyczakowskim. Jeden nazywał się Pierzchaw-

ka a drugi Zbyszek Leuda. Byli to moi koledzy z VI gimnazjum. Siedzieli w więzieniu na Łackiego i tam zginęli w czerwcu 41 r., jakiś przed wkroczeniem Niemców.

22.VI.1941 r. Wybuch wojny... Wojska rosyjskie tak uciekały, że ja nigdy nie widziałem tak strasznego popłochu. Niemcy ich zaskoczyli. Lwów był położony stosunkowo blisko ówczesnej granicy rosyjsko-niemieckiej. Uciekali ~~xxkx~~ gdzie pieprz rośnie. Mimo to jeszcze wtedy brali ludzi do wojska. Wcześniej powołałi mojego kolegę z gimnazjum - Kazika Kowalskiego. On był trochę ode mnie starszy. Wcielili go do armii i wywieźli na wschód od Władywostoku, dostałem stamtąd od niego list. Gdy już uciekali to po mnie przyszedł żołnierz z "powiestką" ~~x~~, że mam się zgłosić do poboru. Oczywiście ja tego nie zrobiłem. Rodzice gdzieś mnie zadekowali a po paru dniach już ich nie było.

Wkroczyli Niemcy. Byłem bardzo zaciekawiony tym jak ta nowa armia wygląda, więc poszedłem do miasta obejrzeć sobie to wszystko. Zobaczyłem tam olbrzymią ilość czołgów i samochodów z żołnierzami. Wszystko to zmierzało na wschód. Wolno było chodzić ulicami, nikt nie robił jakichś wstrętów. Od razu tego dnia zaczęły się pogromy Żydów. Przyłożyli się do tego i Niemcy, już w pierwszym dniu, i ludność miejscowa. Wszędzie było widać Żydów pobitych w okrutny sposób. Na ul. Łyczakowskiej, trochę poniżej kościoła św. Antoniego stała na ulicy cała kolumna żołnierzy. Widzę, że młody Niemiec, jadąc na rowerze, prowadzi za sobą oddziałek. Przed sobą zaś pędzi młodsiutkiego Żydka, który miał może 18-19 lat. Tłustego na twarzy i bledziutkiego. Ten Niemiec trzymał jakiś kij czy witkę w ręce. Żydowi kazali unieść ręce do góry. Widocznie prowadzili go już z daleka, bo był on na spóźnieżytomny, ręce mu opadały. Wtedy ten szczeniak, może miał 17 lat, jadący na rowerze, walił go kijem i tak go prowadził. Straszno to na mnie zrobiło wrażenie, bo jeszcze człowiek nie

nie był oswojony z bestialstwem tej wojny. Patrzyłem jak bije tego Żyda.

Idąc przez Lwów, za tekimi bitymi, maskowanymi Żydami, dotarłem na <sup>ul. Kopernika i</sup> Łąckiego. Poszedłem na ul. Tomińskiego, boczną przy więzieniu na Łąckiego. Przy tej ulicy była brama na podwórze więzienia. Tam właśnie Żydzi, w pierwszym dniu wkroczenia Niemców do Lwowa, wykopywali trupy pomordowanych <sup>przez NKWD</sup> więźniów. Gdy tam byłem to już te wszystkie ciała rozkładały się - trzeba było trzymać chusteczkę przy nosie, bo odór był niesamowity. Każde wyciągnięte z ziemi zwłoki miały ręce związane drutem kolczastym. Ci ludzie chyba byli bardzo bici przed śmiercią, bo niektórzy mieli obrzmiałe głowy, tak opuchnięte. Widziałem to wszystko na własne oczy. Potem już człowiek lepiej rozumiał Katyn.

Wracam do domu, zrobiło się już ~~ciemno~~ późno i widzę, że ludzie stoją w takiej bramie wjazdowej na podwórko, w kamienicy. <sup>przy ul. Tyzaków</sup> Zglądają do środka, więc ja też patrzę. A tam ten szczeniak Niemiec, którego widziałem idąc do miasta, sprowadził jakiegoś gestapowca, takiego byczka, rzeźnika. Wrzucili tam tego młodego Żyda i właśnie w tym momencie kiedy gestapowiec przyszedł i strza - la! - bach! bach! bach! Żyd tylko podrygiwał - zajrzałem tam. Było to moje pierwsze zetknięcie się z bestialstwem Niemców. Widziałem w pierwszym tego Żyda prowadzonego, wyglądało to jakby Chrystus prowadzony na Golgotę, a potem jak go zabił ten byczek.

Po wkroczeniu Niemców istniejąca już wcześniej konspiracja bardzo się wzmocniła i była lepiej zorganizowana. Moje wstąpienie do Armii Krajowej miało miejsce w październiku 1941 r. Przez moją koleżkę Zenkę Bytnarę, syna ogrodnika z Kulparkowa, zostałem wciągnięty do, jak to się wtedy nazywało, polskiej organizacji, nikt jeszcze wtedy nie mówił o Armii Krajowej czy ŻOB. Któregoś dnia wieczorem, po ciemku, poszedłem z Życzkowską na Kulparków. Mój kolega tam mieszkał i odbywało się to w jego

działnicy. Zaprowadził mnie do jakiejś sali, zebrało się tam ze 30 osób, dosyć dużo. Wszyscy byli wpuszczeni pojedynczo. Czytano nam tekst przysięgi, którą powtarzaliśmy. Prawdopodobnie osobą, przed którą składaliśmy przysięgę, był pułkownik Mecieliński. Tak mi potem mówiono. To było moje wejście do organizacji. Z dokumentów: "...od października 41 do lutego 44 przydzielony do grupy studenckiej BIP-u. Kolportował tajną prasę i ukrywał w swoim mieszkaniu skoczka cichociemnego psz. "Uszka". Mieszkał w willi. Podczas wojny zmarł mój ojciec, zaś brat w tym czasie był za granicą. W domu była tylko matka i ja. Mieliśmy dobre warunki, spokój, więc przydzielono nam skoczka, który miał przyjechać do Lwowa. I przyjechał kpt. Michał Wilczewski, ps. "Uszka", którego zameldowaliśmy u nas. Oczywiście pod fałszywym nazwiskiem. Mieszkał u nas wraz ze swym późniejszym zastępcą, Adamem Wierzbickim. Wilczewski był człowiekiem niesamowicie skromnym, bardzo cichym i niepozornym. Wiedzieliśmy, że wciąż gdzieś wyjeżdża. Był przydzielony do Okręgu Stanisławów, w którym w tym czasie był szereg wypadków. Potem przez szefa Okręgu, prof. Hermena, został wyznaczony na dowódcę Kedywu Okręgu. W bazie w Korczunku koło Stryja organizował oddział specjalny, dywersyjno-dyspozycyjny, którym bezpośrednio dowodził. Jego zastępcą został Wierzbicki ps. "Awut".

W 1944 r., gdzieś w czerwcu "Uszka" ściągnął mnie do tego oddziału. Dotarłem do Korczunku. Była to wieś położona o 8 czy 10 km od Stryja, w lesie. Polska wieś, jedna z pierwszych, w których zorganizowała się samoobrona przeciwukraińska. Okolice Stryja były silnie nasycone oddziałami UPA. Rzecz charakterystyczna, że gdy Ukraińcy poczuli, że gdzieś jest niebezpiecznie to już się tam nie pchali. Później Korczunek wyznaczona na punkt zrzutów broni i sprzętu dla AK. Baza była bardzo dobrze zorganizowana. Pamiętam, jak do niej dochodziłem. Miałem dojechać do <sup>Stryja</sup> ~~.....~~ i coś tam trzymać w ręku. Na dworcu podeszła do mnie jakaś

jakaś dziewczyna, zapytała o hasło. Odpowiedziałem i poprosiła, żebym poszedł za nią. Nocowałem w Stryju, u jakiejś polskiej rodziny. Nad ranem zbudzili mnie i jakiś młodzieniec poprowadził mnie do lasów za miasto. A tam już: "-Stój! Kto idzie?" Były tam czujki. On podawał hasło, zresztą był z tym już obeznany. Zanim doszliśmy do bazy zatrzymywano nas dziesięć czy piętnaście razy. Gdybym z nim nie był, to zostałbym niewątpliwie zatrzymany. W Korczunku było za 300 żołnierzy AK, ale to była tylko jedna wioska. W rejonie tym były dalsze zorganizowane polskie wioski: Antoniówka, Sulstycze, Krechówka i w sumie tworzyły bazę samoobrony.

W Korczunku znalazłem się w okresie, gdy oddział już przygotowywał się do marszu. Znalazłem się trochę na zasadzie protekcyjnej, ponieważ Michał mieszkał u nas <sup>we Lwowie</sup> w oddziale początkowo było 40 ludzi, ale przed wymarszem odbyła się rozmowa całej grupy z dowódcą, podczas której można się było wycofać z imprezy. Zdżądanie było bardzo niebezpieczne. Dwóch kolegów się wycofało i zostało nas 38.

Wyruszyliśmy z Korczunka do Bitkowa koło Nadwórnej. Trzeba było iść około 150 km przez tzw. Czarny Las, teren opany przez oddziały UPA. Front już nadchodził, wszyscy wokół uciekali na zachód a myśmy szli na wschód aby wspomóc bazę w Bitkowie, otoczoną czernią ukraińską. Mieliśmy wspomóc istniejącą tam samoobronę, która alarmowała, że ma za mało broni, że mało ludzi, że mało instruktorów. W tym właśnie celu stworzono nasz oddział, specjalnie przeszkolony. Po dojściu na ten teren mieliśmy tam pozostać i razem z Rosjanami prowadzić akcję "Bura". Oni jednak już w pierwszym dniu po wkroczeniu zaczęli nas prześladować.

Mieliśmy za zadanie nie przeprowadzać żadnych akcji przeciwko Ukraińcom a jedynie przejść niepostrzeżenie. Zbyt cenne było

zaopatrzenie, które żeśmy nieśli. 38 partyzantów przy tysiącach partyzantów ukraińskich to nie była żadna siła. Cały teren, po którym poruszaliśmy się był przez nich opanowany. Były tam oddziały po 300 osób, z koniami, z furmankami. Oni wciągali nawet taką ludność, która nie chciała mieć z nimi nic wspólnego. Wydali oświadczenie, rozlepiane po wsiach, że każdy Ukraińiec, który nie wstąpi do UPA zostanie rozstrzelany. Było to pociągnięcie terrorystyczne w stosunku do własnej, ukraińskiej Ludności. Wobec tego cała ludność męska była zaangażowana do UPA.

Podczas naszego marszu było wiele sytuacji podbramkowych. Wielu spośród nas nie znało języka ukraińskiego, np. ja. Jednak musieliśmy wstępować do wiosek, więc ci z nas którzy ten język znali to rozmawiali. A nam, którzy nie umieliśmy mówić, nie wolno było otworzyć gęby. Miejscowa ludność witała nas: "Sława herojom! Sława Ukrainix!" W niektórych wioskach nas nawet dobrze karmili, dawali mleko, ser. Naszym zadaniem oczywiście było nie ujawnianie tego, że to jest polski oddział. Ale ludzie chyba się domyślali, bo przecież widzieli, że mamy zupełnie inne uzbrojenie. W rezultacie w pewnych momentach tropiono nas. Musieliśmy kilkakrotnie zmienić marszrutę, udawaliśmy, że idziemy na zachód, żeby się zgubić. Gdy dotarliśmy pod Bitków zatrzymaliśmy się w opuszczonej kuźnicy, w lesie. Była to dosyć duża szopka, z dwoma czy trzema pomieszczeniami, bez okien. Tam zostaliśmy i wysłaliśmy "Litwina" /Henryka Zjawin-Matkowskiego/, który znał dobrze ten teren, do Bitkowa. On nawiązał kontakt z miejscową AK, przyniesiono nam, jakieś dziewczęta, gorący rosół. Miał też dołączyć do nas dobrze zorganizowany oddział z samego Bitkowa, tak, że nasze nastroje polepszyły się.

Jednak pierwszej nocy naszego tam pobytu ktoś, prawdopodobnie Ukraińcy, wprowadził Niemców. Myśmy mieli wartowników, którzy pilnowali postoju. Ale Niemcy prawdopodobnie wysłali czujkę

złożoną z dwóch tylko żołnierzy. Chcieli sprawdzić czy ten donos jest prawdziwy. Podeszli a my wszyscy w najlepsze chrapiemy. Pamiętam okrzyk: "Hände hoch!" i serie z broni maszynowej. Zrobił się straszny tumult, bo zaskoczyli nas. Ci Niemcy zresztą zaraz uciekli. Myśmy się poderwali. Ale w wyniku tej strzelaniny czterem ludziom seria poszła po nogach /m.in. Kowalski/. Najcięższe rany odniósł zastępca dowódcy oddziału, por. Adam Wierzbicki "Awut". Musieliśmy uciekać w góry. Wyrwaliśmy w tej kuzni drzwi i na nich nieśliśmy rannych. Niosło nas po czterech, a nawet po sześciu. Ja z innymi niosłem naszego porucznika. Po jakichś trzech kwadransach takiego pośpiesz- -nego marszu słychać strzały, podeszły główne siły niemieckie. Wywiązała się straszna bitwa. Myśmy mieli granaty, dwie karabiny maszynowe, każdy z nas miał steno. Jak się zaczęło w tym lesie pukać, to ludzie z okolicznych wiosek ~~xxix~~ uznali, że wylądował desant. Niemcy nie zapędzali się głębiej w las, gdy napotkali twardą odpowiedź ze strony naszego oddziału. Nasz kapitan, "Uszka", strzelał rzadko ale za każdym strzałem było trafienie. Zabił dowódcę niemieckiego oddziału, potem jakiegoś drugiego oficera.

Nie znam motywów zachowania się "Awuta", który będąc ranny - rzeczywiście nie mógł wstać o własnych siłach - zaczął krzyczeć do Niemców: "Halt! Halt!". Doskonale znał język niemiecki. Sytuacja jest taka, że jest silna strzelanina, nagle słychać w lesie wykrzyczane mocnym głosem "Halt! Halt!" i on zaczyna z nimi rozmawiać, żeby przerwali ogień. Zsunął się po zboczu i oddał się Niemcom do niewoli. Ponieważ był w angielskim mundurze, więc poszła fama, że w tych lasach był zrzut angielski. Niemcy tak myśleli i w związku z tym traktowali go trochę delikatniej.

Niemcy przestali strzelać, zabrali "Awuta" i wycofali się. Myśmy odbili się trochę z tymi ranami. Ale co robić dalej?



Jesteśmy w lesie, którego nikt z nas nie zna. Jedynym obeznanym z terenem był "Litwin". Ja byłem najstarszy <sup>wielki</sup> tych chłopców więc powiedziałem do niego: "Gdzie my możemy teraz pójść? Czy mamy wrócić z powrotem?" Nasz dowódca gdzieś się chwilowo zapodział. Uratował nas "Litwin", który powiedział, że jesteśmy niedaleko od Nadwórnej i wskazał kierunek marszu. Poszliśmy. Było wczesne rano, chyba koło godziny czwartej i robiło się szarawo. Dochodzimy do Nadwórnej, za rzeką Bystrzycą widać miejscowość. Przez rzekę prowadzi drewniany most. Przeskakuję przez drogę - po związku nam swoje barki zadanie doprowadzenia oddziału - po jej drugiej stronie jest las. Ci za drogą czekają na mój sygnał. W pewnym momencie rozchyliłem kraski, a tutaj sterczy lufa czołgu. Lufa okręcona skórzanym kapturem. W tył zwrot! Tam wpali Niemcy. Na szczęście nikt z nich nas nie zauważył. Myśmy się wycofali. Schowaliśmy naszą broń w szumarach nad rzeką, zamaskowaliśmy trawą czy liśćmi i pojedynczo, brodem przez rzekę - do kościoła. Kościół było z tego miejsca widać. Most był strzeżony przez Niemców. Stały tam dwie drewniane budki, dwóch z jednej strony, dwóch z drugiej strony - dzień i noc pilnowali jako obiektu wojskowego.

Proboszcz parafii w Nadwórnej, ks. <sup>Tadeusz</sup> Łęczyński / niedawno żeśmy go pochowali, był proboszczem w Legnicy / był członkiem organizacji. Na swojej plebani kwatrował dwóch oficerów niemieckich i dwóch węgierskich. Był na tyle odważny i bezczelny, że schował cały oddział - było nas wtedy 25 czy 26 - na strychu w budynkach plebanijnych, nad jakąś dużą szopą i samą plebanią. Siedzieliśmy tam jak trusie. Gospodynie księdza robiły nam żarcie, które dyskretnie donoszono na ten wielki strych.

Jeszcze tego samego dnia znalazł się na miejscu "Uszka". Zajął się przede wszystkim pomocą dla rannych. Zostali oni w lesie, zdekowani. Zostawiliśmy im tę trochę jedzenia, które jeszcze

mieliśmy. Opiekę nad nimi przejęła placówka w Birkowie. Trzeba ich było gdzieś przenieść. Ksiądz Łaczyński utrzymywał dobre stosunki z Węgrami. Dwaj mieszkający na plebani oficerowie węgierscy zostali przez niego wtajemniczeni w całą sprawę. Udostępnili wojskową sanitarkę węgierską z kierowcą. Nazywał się on Paul Kiraj i był Słowskim w armii węgierskiej. Przewieźli nam tych rannych do szpitala w Nadwórnej. Ordynatorem tam był chirurg, dr Bełtowski, również należący do organizacji. Rannych przyjęto jako postrzelonych na drodze pomiędzy Nadworną a jakąś inną miejscowością. Tego typu incydenty zdarzały się na tamtych terenach dość często bo działali tam Ukraińcy. Nikt więc z tego powodu nie robił specjalnej sensacji. Ci trzej nasi ranni w nogi koledzy zostali więc przewiezieni do szpitala i zoperowani przez dr Bełtowskiego. Równocześnie kpt. "Uszka" energicznie działał w sprawie "Awuta". Miał do dyspozycji złote funty szterlingi. Przez księdza dał je Węgom, Węgrzy przez taką monetę - jedną czy dwie - porozmawiali z lokalnym dowództwem niemieckim, że biorą Wiersbickiego do siebie, jako węgierskiego jeńca. Przetransportowali go, rannego, na Węgry. Przeżył, doczekał się na Węgrzech zakończenia wojny i przyjechał do Polski. Należy podkreślić bardzo umiejętne postępowanie kpt. "Uszki" i ks. Łaczyńskiego, dzięki którym cała sprawa tak dobrze się akonczyła.

Wracając do wydarzeń tego gorącego dnia. Jesteśmy już na plebani, cały oddział. Po południu ks. Łaczyński powiedział: "No dobrze chłopaki ale gdzie macie bron?" Trzeba będzie ją przynieść, nie może przecież zostać pod opieką Bożą. Kto się zgłosi?" Zgłosiłem się ja i dokooptowałem drugi kolega, którego nazwiska nie pamiętam a pseudonim miał "Kasz" /podobno po wojnie był taksówkarzem we Wrocławiu/. Ksiądz dał nam do dyspozycji furmankę, konie i dwie kosi. Mieliśmy się udać rzekomo po to sby nakosić trawę dla bydła na plebanii. Na plebani, gdzieś od dwóch lat, mieszkała łowianka, Terese Firich. Ksiądz dał nam ją jako przewodnika znającego

tego teren. Ona znała Niemców będących w obstarwie tego mostu. Podszła do nich, zaczęła z nimi rozmawiać, śmiać się - przepuszczono nas. Porzej było z powrotem, bo wtedy mieliśmy już na furmance 25 stonów, 2 rkm i gránety. Przykryliśmy to wszystko trawą, którą skosiliśmy w pobliżu miejsca ukrycia broni. Przy okazji kolega złamał kosa. Wracamy: ja z kosą, on trzymając konia za uzdę. Most był strzeżony przez czterech Niemców. Tereska znowu zaczęła z nimi rozmawiać a myśmy powoli przejeżdżali. Scena pełna napięcia, bo oni wpatrywali się w naszą furmankę. Jakoś przejechaliśmy, nie kazeli się zatrzymać. Za najbliższym zakrętem kolega wskoczył na tą furmankę i galop. Jacyś chłopcy wybiegli przed nami i krzyczą: "-Jadą! Już jadą!" Natychmiast otworzono na oścież bramę na plebanię. Czekaly już na nas zatrudnione tam kobiety. To wszystko zostało błyskawicznie przeniesione do jakiegoś komórki, gdzie była wnoka. Miejscowy cieśle od razu robił beleczki i co tylko położyli, to on ściankę <sup>zabudowywał</sup> kawałek do góry. W ciągu piętnastu minut skrytkę zniknęła ze ścianą, coś na niej powieszono. Uratowaliśmy więc całą naszą broń i amunicję, skorzystała z niej później nasza baza w Bitkowie.

Pobyt w Kadwérnej przeciągnął się do trzech tygodni. Wspaniale zachowywała się obsada tej plebani, było tam a sześć gospodyń. Nie pisnęły na nasz temat ani słowa. Dbało o nas bardzo ładnie. I codziennie wyjeżdżało po dwóch - trzech ludzi. Jedni jechali do Lwowa, inni do Stryje. Zbliżał się już front. Ja pojechałem z moim dowódcą, kapitanem Wilczewskim, do Stanisławowa. Pojechaliśmy pociągami. Miejscowa konspiracja przygotowała nam jakieś lewe zaświadczenia. W Stanisławowie "Uszka" miał rodzinę i ciągnęło go tam, aby przetrzymać moment przewalenia się wojsk sowieckich. Myśmy nie bardzo wiedzieli jak to będzie wyglądać. Raczej przypuszczaliśmy, że wejda sprzymierzeńcy - okazało się, że było zupełnie inaczej. Dołączył do nas jeszcze jeden chłopak

ku z AK, syn rusznikarza ze Lwowa, Roman Dmytrach. On był bokserem wagi piórkowej. Organizacja dała nam kwatery u starszej pani, która wieszkała ze swoją siostrzenicą. Zajęliśmy jeden pokój w ich willijce. To było na jakieś dwa, może trzy dni przed wkroczeniem wojsk radzieckich. Same wejście dokonało się w nocy, bez specjalnych walk, bo Niemcy się wcześniej wycofali. Z chwilą zajęcia Stanisławowa nasz dowódca wyszedł do miasta, żeby zasięgnąć języka - jak to wygląda, co się dzieje. Ja z kolegą siedzieliśmy w mieszkaniu. Przy "Uszka" wyszedł około godziny dziesiątej a około godziny jedenastej do tego domku przychodzi dwóch sowieckich oficerów. Szukają "kwartiry". Oglądają całe mieszkanie, wszędzie wchodzi, jak to oni mieli w zwyczaju: "Da, choraszaja kwartira. A pasport u was jest". Miałem legitymację studenta weterynarii, ze Lwowa. tłumacząc, że tu przyjechałem i zastał mnie front. Wylegitymowali kolegę. "No choraszo. My zdiest budiem ziv". Poszli. Specjalnie żeśmy się tym zdarzeniem nie przejęli, choć troszeczkę było nieprzyjemnie, bo wszędzie wtykali nos. Ale nie minęło dwadzieścia minut, gdy przychodzi po nas czterech żołnierzy z papuszki. - "Tu są dwaj młodzieńcy?" - "Jesteśmy, a bo co?" - "Sobirajties wieszczę iditie s nami!" To było przesładowanie. Prowadzą nas - miało to miejsce w willowej dzielnicy - nie ulicą ale przez podwórka, ogródki, już są dzikury powybijane w murkach, tak że można przejść z jednego podwórka na drugie, na następną ulicę. Przeprowadzili nas do jakiejś piętrowej willi, jej właścicielami byli jacyś Ukraińcy, a na swoją kwatery zajęli je "Smerak", sowiecki kontrwywiad wojskowy. Wprowadzili nas na piętro, gdzie zastaliśmy rozłożonego, rozchła- na tapczanie, rozchłaśtanego oficera. Zdaje się, że flirtował z właścicielką. Poprawił mundur i zaczęło się regularne przesłuchanie. Wezwano protokolanta. Najpierw nagłowano mnie, kolega siedział w innym pokoju. Trzymali już nas oddzielnie. Odabrali

wszystkie papiery, jakie miałem przy sobie. Potem wzywali Romana. Przesłuchiwano mnie kilkakrotnie, nie bito mnie ale ~~krzyki~~ przesłuchania były niezwykle ordynarne. Kwintesencją każdego z nich było: - "Wy Armia Krajowa, wy szpion germanski!" W pewnym momencie ten oficer, był zdaje się kapitanem, tak się zdenerwował, moimi próbami tłumaczenia, że jak "Armia Krajowa, to nie giernanski szpion", że krzyczy do jakiegoś żołnierza: - "Idi sjuda! Jowo nada razstrielat". Wszystkie okoliczne wille były już zajęte przez wojsko. W tej akurat chwili się sztab "Smiersze". Wezwany solista pochował mnie i prowadzi na podwórko. Podwórko frontowe: pijani żołnierze, jeden zepity grał na harmonijce i coś tam podśpiewywał, inny się mył. Ten podprowadza mnie pod jakąś niską przybudówkę, nie pamiętam czy to była stajenka, czy też garaż. Stawia mnie pod murem i cofa się o parę kroków. Przy penującym tam rozgardiaszu na te dwa czy trzy strzały nikt by nawet nie zwrócił uwagi. Przez głowę błyskawicznie przeleciała mi myśl: "Jak to?! Ja poszedłem do polskiej partyzantki a jako niemieckiego szpiega zabijają mnie Sowieci. I nawet moja matka nie będzie o tym wiedziała.". W tym momencie skrzypi bramka ogrodowa i do willi wchodzi gruba baba w sowieckim mundurze. Chyba jakaś "palkownik". Wszyscy stają na baczność. Ona widząc, że ten żołnierz do mnie mierzy. - "Szto takoje?" - "Giernanskowo szpione major /czy kapitan/ prikazał ubit". Popatrzyła się na mnie, nic nie powiedziała. Chwilkę pomyślała i powiedziała: - "Kak eto giernanski szpion, tak jowo nada statanit w Kamiendanturu". Poszła. Wobec tego oczekując - wydaje mi się, że nie fikowana, nie było takiej potrzeby - wstrzymano i cofnięto mnie do tego pokoju, w którym mnie przesłuchywano. Za jakiś czas wywołają mnie znów i ten kapitan /?/ mówi: - "U was tam był trietij?" Mieli widocznie dokładne meldunki, myśmy tam byli obcy, więc łatwo było nas za-

urażyć. Pomyślałem, że nie ma sensu się wypierać. - "Tak, był." - "Co to my chcemy, żebyś go tutaj przyprowadził". - "Dobrze, przyprowadzę go, ale przecież on na pewno jest u siebie w mieszkaniu". Chciałem z góry wiedzieć, że ta kwatery jest już spalona, bo od zatrzymania do tej rozmowy upłynęło już dobrych parę godzin. Ale każda zmiana w aktualnej sytuacji była dla mnie lepsza. Ten oficer daje mi trzech żołnierzy. Prowadzą mnie do naszej willi. Ludzie się na to patrzą, ale wiadomo - wojna, może to prowadzi jakiś Niemiec. Przyszliśmy. Była właścicielka i jej siostrzenica. Żołnierze rozstawili się na enkawudowski sposób. Jeden został przy drzwiach wejściowych, jeden na klatce schodowej a jeden wszedł ze mną do środka. Wchodząc do tego domu mówię do przestraszonej właścicielki, jednocześnie zdejmując z ręki zegarek po ojcu: - "Proszę pani, proszę wziąć ten zegarek!". - "Nie, nie". Ale w końcu wzięła. Enkawudysta pyta: - "Nu, gdzie on?". Ale widzę, że zainteresował się dziewczyną, siostrzenicą - brzydką zresztą, ruda, bleda i trzustawa - i stanął w drzwiach między kuchnią a pokojem. Ze ~~ku~~ <sup>kuchnia</sup> ~~ku~~, po prawej był jeszcze ~~drugi~~ <sup>drugi pokój</sup>, niewidoczny o d drzwi. Soldat oparł się o framugę i flirtuje z dziewczyną. A mi się jakoś powiedziało: - "Zobaczę, może tam jest!", bo bez przerwy zaglądałem we wszystkie kąty i nąziłem: "Gdzie on? Gdzie on?". Udawałem, że szukam. On stoi oparty i mówi: - "Iskaj!", pewnie wiedział, że go nie znajdę. Wchodzę do tego pokoju i widzę, że okno jest otwarte, a mieszkanie jest ~~przekazane~~ na parterze. Wszystko odbyło się błyskawicznie. Wchodzę tam i czmych do ogródka! Był tam niski parkanik z drewnianych sztachetek. Przez ten płotek, przez bramkę i na ulicę. Patrzę ~~w~~ w którą stronę bliższa droga do <sup>ulicy</sup> rogul. Biegłem. Nikt ze mną nie biegał. Na lewo i do następnej przeczynicy, żeby ich zgubić jeżeliby za mną gonili. Coś jeszcze miałem w marynarce, przetrzuciłem to do kieszeni spodni. Marynarkę

kę miałem już pustą. Wpadłem na podwórko jakiejś <sup>obcej</sup> willi. Widzę, że jegomość coś robi w ogródku. - "Panie! Gonia mnie Sowietci!.. Gdzie ja tutaj..." Tylko tyle zdążyłem mu powieścić, a on od razu - "Panie idź pan stąd! Natychmiast!" Nawet nie chciał mnie wysłuchać do końca. Nauciliem mu marynarkę: - "Niech pan gdzieś to schowa!" i na ulicę. Rozglądam się czy ktoś mnie goni. Nikt. Poleciałem do końca ulicy - nadal nikt. Wobec tego poszedłem do jedynego człowieka, którego tam znałem, bo Steniaszów był dla mnie miastem zupełnie obcym. Tam, gdzie nas zaprowadzono, gdy przyjechaliśmy z naszym dowódcą. To był człowiek z tamtejszej ul. Pamiętałem piętrowy domek, w którym zajmował właśnie piętrowy i pamiętałem wtedy jego pseudonim, którego dzisiaj już sobie nie przypominam. Pukałem do drzwi mieszkania; otwiera mi jakaś kobieta. Pytam się: - "Czy mogę się zobaczyć z panem" i tu wymieniam jego pseudonim. A ona, przerażona, odpowiada: - "Tu taki pan nie mieszka!" Ale w tym momencie gdy ona to mówi, widzę jak z drugą stronę pokoju wychodzi ten człowiek, którego szukałem. Poznał mnie. Mówi więc: - "W porządku." Okazało się, że wiedzieli już o wszystkim, o tym, że nas dwóch aresztowano. Dowódca już był zawiadomiony. - "Niech pan zejdzie na dół. Ja za chwilę także wyjdę z domu. Pan za mną ale nie bliżej niż 50-60 metrów. Ja pana zaprowadzę. Tutaj pan nie może zostać". Dobrze. Wokół tego budynku było spore pole, bo tam budowano nowe domy, ale nie wszystkie parcele były już wykorzystane. Rzeczywiście po krótkim czasie wyszedłem z domu i doprowadziłem mnie do jakiejś ciotki czy siostrzenicy "Ułaski", pani Wilczewskiej. Ona już wiedziała o wszystkim. Wsadziła mnie do takiego pokoju, w którym zgromadzone były nieużywane meble. Był on zamknięty na klucz. Po trzech dniach dostałem od niej butelkę samogonu i miałem jechać do Lwowa. Pani Wilczewska miała dwóch synów. Otrzymałem legitymację jednego z nich. Pokazali mi do wspomnianego fotografa, miał on jeszcze prymitywny aparat na pompkę, który zrobił

mi zdjęcia. Zostało przyklejone na legitymacji, ktoś mi dorobił rąbek pieczęci, tak że miałem jakiś dokument.

Poszedłem przez most za miasto czekać na jakieś samochody. Zatrzymywało się w ten sposób, że gdy ktoś nadjeżdżał to podnosiło się butelka i z mną czekał jakiś Żydek, w moim wieku. "Gdzie pan jedzie?" "Do Lwowa." "To możemy razem jechać? Potem okazało się, że ten Żydek posiadał zezwolenie na przejazd do Lwowa podpisane przez tego oficera sowieckiego, który mnie aresztował. Zatrzymaliśmy samochód, który jednak dość szybko skręcał z lwowskiej trasy. Ten Żydek był stamtąd, gdzieś w takich rejonach, przetrzymał wojnę, więc zorientował się. Tak długo walił w parkę, aż się zorientowali i wysadzili nas. Jego wódka przepadła a byliśmy dopiero 10 czy 15 km za Stanisławowem. Musimy czekać na następną okazję. Postanowiliśmy przejść kawałek piechotą. Idziemy koło polowego lotniska. Obok szosy, na łące stoją samoloty. Nagle z rowu, niezauważony przez nas, wychodzi Sowiet. "Wy kude?" "W garod Lwow" - tłumaczy się ten Żydek. "Niet, nado wierniotsje abratno". Musiałbym wtedy wrócić prosto w łapy tego, któremu uciekłem. Sowiet nie chce słuchać Żydek, a ten klaruje: - "Ja mam tutaj zaświadczenie komandira!". Żołnierz: - "Nado ujezdat abratno!" Nagle, nie wiadomo skąd, jak spod ziemi wychodzi oficer: - "Chto aka takoje?". - "A dwóch takich, muszą wracać do Stanisławowa." Lotnik czyta zaświadczenie tego Żyda. - "Ja znaju etowo komandira". Na szczęście znał tego Żyda, który wystawił przepustkę /a mnie aresztował/. - "Eto prawilno. Pust jedut w garod Lwow." Żołnierz nas puścił. Poszliśmy dalej, starając się nie patrzeć na te samoloty. Za lotniskiem dogonił nas ciężarowy samochód. Machamy tą moją wódką. Zatrzymał się. Wieźli nim rannych żołnierzy sowieckich. Ci ranni byli w okropnym stanie, nikt się nimi nie zajmował. Kierowca - wariat, jechał ostro i gwałtownie k/w Hamowsk. Doszło do tego, że w pew-



nym momencie jeden z rannych zleciał <sup>z samochodu</sup> na bieżnię. - "Niczasu!" Kierowcą interesowała tylko "wodka". Pamiętam, że trzymał kierownicę a jednocześnie popijał tę wódkę. W takich warunkach raczej nie byłem skłonny poprawiać go. Dowiedzieli nas do Lwowa i tak się skończyła moja partyzancka eskapada.

Idy uciekłem <sup>do Stanisławowie</sup> to mój kontakt z Romanem Dmytrechem urwał się. On został w "Smerszu". Dopiero po jakimś czasie dowiedziałem się od "Uszki" o jego dalszych losach. Nie widziałem się co prawda z kpt. Wilczewskim bezpośrednio, ta opowieść została mi przekazana przez drugą osobę. "Uszka" już się u nas nie pokazał. Wiem, że był we Lwowie, ale głównie przebywał w okolicach Stanisławowa. Znam relacje kolegów, którzy tam do niego jeździli. W następnym roku, gdy ja byłem w lagrze, <sup>"Verba"</sup> ~~on~~ został wraz ze sztabem AK aresztowany na ul. Jaskonowickich we Lwowie. NKWD otoczyło mieszkanie. "Uszka" i jego łączniczka wykorzystali pigułki z arszenikiem i nie oddali się Sowietsom <sup>obecnych.</sup> aresztowano i wywieziono.

Wracając do losów Romana. Po mojej ucieczce zrobił się straszny szum. Idy tylko dotarła wiadomość o tym to wezwali jakieś posiłki aby zrobić szczegółową rewizję. Wilijkę tą sprawdzali od strychu do piwnic. Zaczęli też <sup>bardzo natężenie</sup> ~~przeszukiwać~~ przeszukiwać Romana. Co chwile jeden, drugi, trzeci śledczy. Trwało to do nocy. W końcu mieli go odprowadzić do komendantury, która mieściła się za rzeką, na skraju miasta. Most był szbombardowany czy też spalony, w każdym razie nie można było z niego korzystać. Zrobiono wąską, prowizoryczną kładkę dla ruchu pieszo. Można zresztą było korzystać iść tylko w jedną stronę. Wobec tego kierowali ruchem, raz zezwalając na przejście w jednym kierunku a potem w drugim. /.../ <sup>to jest Po-</sup> <sup>Komarov</sup> ~~ten~~ się ubrać i poprowadzili pod strzechą trzech sowieckich żołnierzy a pe-  
pessami. Gdy konwój dotarł do kładki okazało się, że trzeba się

zatrzymać, ponieważ skądś był prąd przechodniów w przeciwną stronę. Żołnierze postanowili zapalić. Postawili paposa między nogami i zaczęli sobie robić skręty. /.../ On to wykorzystał - był zwinny /były bokser/ i zastakował ich, tak rozdając ciosy, że wszyscy trzej konwojenci przearócili się. Roman uciekł w pole, pobiegł przez jakieś kartoflisko, w pewnym momencie potknął się i jak długi wywałił pomiędzy kartofle. W tej samej chwili przebiegł nad nim serżant, widząc żołnierze pobierali się. Na szczęście nie trafili go. Postrzelali jeszcze trochę ale na ślepo, nie widzieli go. W ten sposób mojemu koledze także udało się uciec.

Te moje przygody zakończyły się wkrótce przed rozpoczęciem roku akademickiego. Ja byłem po pierwszym roku weterynarii ukończonej za okupacji niemieckiej - Tierärztliche Fachkurse. Rosjanie wkrótce po swoim wkroczeniu uruchomili znowu Wietierinarnyj Institut. Trochę się obawiałem, bo moje dokumenty zostały w Stanisławowie i NKWD mogło mnie szukać ale studiować mogłem tylko pod swoim prawdziwym nazwiskiem. Wobec tego po prostu się zgłobałem.

22.XII. 1944 r. jako student II roku udałem się na ostatnie zajęcia przed świętami. Miały to być ćwiczenia prosektoryjne. W teczce miałem jedynie fartuch, skalpel i pincetę. Szedłem piechotą bo to nie było daleko z Górnego Życzakowa, gdzie mieszkałem. Miałem skręcić w ul. Piotra i Pawła prowadzącą do Cmentarza Życzakowskiego. Koło cmentarza biegła ul. Kochanowskiego, która prowadziła m. in. do miasteczka akademickiego, gdzie i weterynaria miała swoje kliniki. Było około godziny ósmej rano. Schodzę od strony Życzakowskiej ulicą Piotra i Pawła, gdy widzę, że po przeciwnej stronie ulicy idzie mój kolega z weterynarii Kazik Korbecki. Idzie w towarzystwie trzech cywili w futrzanych czapkach charakterystycznych dla Rosjan, ale w czasie wojny też takie czapy nosili nasi. Zbliże się do mnie - idę w przeciwnym kierunku - i mówi: - "Serwas Staszek!" Odpowiadam: - "Cześć!" Widocznie chciał zostawić po sobie ślad. Ale

temci zaraz zrobili w tył zwrot: - "Chodź z nami!" i zabrali mnie razem z nim. Wszyscy trzej byli w cywili ale pokazywali broń, pistolety, żebyśmy nie próbowali uciekać, bo będą strzelać. Prowadzili nas piechotą. Na ul. Życzakowskiej nepotkaliśmy prof. Włodzimierza Kuczersa, wykładowcę fizyki, Ukraińca. Ukłoniliśmy mu się pięknie, żeby nas zauważył. Później, podczas przesłuchania, pytano mnie kim był ten mężczyzna, któremu się kłanialiśmy. Odpowiedziałem, że pasam profesorem z uczelni. Zaprowadzili nas na ul. Pełczyńską. Był tam przedwojenny gmach Miejskich Zakładów Elektrycznych, który za Sowietów był zajmowany przez NKWD, za Niemców przez gestapo i teraz ponownie przez NKWD. W budynku tym mieściły się jakby biura tych służb specjalnych, był to wstęp do więzienia, które znajdowało się niedaleko - na ul. Łackiego róg Tomickiego i Kopernika. Najstraszniejszego więzienia Łowa. Na Pełczyńskiej zamknęli mnie w osobnym pokoju i przez dwie czy trzy godziny nikt ode mnie nie nie chciał. Jedynie wchodzili rozmaici Sowietci, oficerowie. Nic nie mówiąc patrzyli na mnie i wychodzili. Takie zmięczenie. Dopiero po jakimś czasie, już pod wieczór, zaczęto spisywać moje personalia. Odebrano mi wszystkie drobne przedmioty jakie miałem przy sobie. Pytali mnie skąd jestem i czy wiem kim jest Kazik. Mówiłem, że to mój kolega z roku. Było to trochę nekajace ale widocznie nie mieli na mnie żadnego haka. Nikt mnie nie zapytał o Stanisławów, ani wtedy ani do końca pobytu w ich rękach. Podejrzewam, że gdy im dwóch zatrzymanych uciekło, to oni wtedy zniszczyli papiery, bo sprawa była dla nich dość kompromitująca. Tak się domyślałem, bo znając te służby było nie do pomyślenia, żeby człowiek raz wpadł pod własnym nazwiskiem i żeby tego potem nie drążyli.

Nieznaję wezwali mnie ponownie w nocy. Tym razem było ich dwóch. Przy mnie żądowali rewolwery, pamiętam że to były sześciopstrzałowce. Potem przyszedł jeszcze jakiś żołnierz. Odprawiali nas dwóch czy trzech. Nie było jednak pośród nas mojego kolegi. Po nas ostatni

Kazika widziałem, gdy przyprowadzono nas na Pełczyńską. Zdążyliśmy jeszcze ustalić, że znamy się jedynie z uczelni. On był synem zawodowego wojskowego, chyba sierżanta. W ich domu był pew konspiracyjny punkt kontaktowy, który odkryli Sowisci. Aresztowana została cała rodzina Kyrbeckich: ojciec, który zmarł wywieziony do lagru; matka, której po obozach udało się wrócić do kraju oraz obaj synowie - mój kolega Kazik i jego brat Mietek. Znałem ich obu bardzo dobrze, jeszcze z czasów przed-uczelnianych.

Była godzina druga w nocy. Idąc ulicą Tomickiego już domyśliłem się, że prowadzą nas do więzienia na Łackiego. Konwojanci wala w drzwi, jakiś zaspany Sowiec otwiera. Wprowadzili nas do sali, do której przyszedł jakiś starszy enkawudysta. Kazał się nam rozebrać do rosołu. Sprawdzał każdy załamek koszuli, każdą kieszeń. My, w dwóch czy trzech, rozebrani do naga czekaliśmy aż skończy. Ale mało tego. Potem kazał nam stanąć tyłem, zrobić ~~xxxx~~ skłon i przysiad. Zglądał tam, gdzie diabeł nie zagląda, czy przypadkiem człowiek tam SOBIE CZĘŚĆ nie wadzi. Było to dla mnie pierwsze zetknięcie się z sowieckim reżimem więziennym. Poszliśmy do cel bez niczego, nie można było zabrać ani kawałka ołówka, ani papierka, ani nic takiego. Zbrali mi pasek, a że spodnie miałem troszeczkę za duże musiałem je bez przerwy podtrzymywać. Niby to drobna rzecz, ale to jest bardzo uciążliwe i demoralizujące. Potem rozpoczęła się wędrówka. Wiązanie śpi. Słychać jakieś przesłuchanie, jakieś krzyki ale daleko - może ze dwa piętra wyżej. Idziemy z pierwszego piętra /gdzie nas przyjmowali/ jakąś krętą boczną klatką schodową na piętro piąte czy szóste /nie pamiętam - w każdym razie najwyższe/. Potem jakimś korytarzem. Za każdym korytarzem staje się przed zalesaną kratą, którą pilnujący musi otworzyć. W ciszy trzaski zamków tych krat aż dźwięczały w uszach. Idziemy dalej, że nami zamykają tę bramę. Gdy napotykaliliśmy jakiegoś prowadzonego więźnia, to zatrzymywali nas, kazali odwrócić się twarzą do ściany i, pod-

nosić ręce i nie odwracać się. Chodziło o to, żebyśmy przypadkiem nie zobaczyli tego, którego prowadzą. Takich spotkań po drodze mieliśmy pięć czy sześć. Prowadzili nas strasznie okrężną drogą. Na dół, do góry, naprzód i do tyłu. Chodziliśmy ze 20 minut po budynku, wciąż otwierali i zamykali za nami te wrota z krst. Przypuszczalnie robili to po to, aby człowiek się zgubił. Właściwie mógłbym się zgubić, 'dyby nie to, że miałem to wszystko w nosie. W końcu schodzimy na dół, na dół, aż do piwnic. Prowadzą mnie korytarzem pianicznym, smród i piwnicy i ludzi, którzy tam siedzą. Pierwsza moja cela ~~miata~~ numer 7. Otwiera przede mną drzwi, przede mną jest zupełna ciemność. Strażnik mnie mocno pchnął, tak że musiałem zrobić dwa czy trzy kroki. Nie wiedziałem, gdzie idę. Czy zaraz wpadnę do jakiejś dziury, czy będę miał ścianę przed sobą czy wodę. Zatrzymałem się i stoję. Za mną kamykają się drzwi celi. Zupełna ciemność - z półmroku światełek korytarza zostałem wtrącony do absolutnej ciemności. I cichaze. Za to jest tu śmiech i perłowanie. Po prostu gęste od wydechów ludzkich. Stałem tak z minutę. Słyszę kroki odchodzącego strażnika. Wtedy dopiero sala ożyła.

Słyszę jakieś szepty z jednej strony, z drugiej - już wiem, że jest tu wielu ludzi. W końcu trzask zapalniczki. Dopiero w tym momencie, gdy w świetle jedynej zapalniczki zobaczyłem wprost zbójckie brody dawno już siedzących więźniów to zdałem sobie sprawę jak długo można tu posiedzieć. Zaraz się zaczęło: ~~ix~~ - "Jak pan się nazywa? Skąd pan jest? Z jakiej ulicy? Co tam słychać? Co się w tej chwili dzieje? Co w Polsce?" Ci ludzie byli zupełnie odcięci od świata. Nie bardzo chciałem odpowiadać, bo nie wiedziałem do kogo mówię. Powiedziałem tylko, że zostałem aresztowany poprzedniego dnia i że jestem studentem. Znów rozległ się chór pytań: - "czy znam tego, tamtego?" W końcu uspokoiło się. Zapalniczki się wypaliły, jest ciemno a ja szukam miejsca, gdzie mógłbym się położyć. Okazało się, że sala była

tak wypełniona, że ludzie musieli leżeć na jednym boku a trzech i tak musiało stać, bo już nie było dla nich miejsca aby się położyć. Ostatni, który przyszedł musiał stać. Zresztą nie było mi nawet wtedy w głowie spać. Staliśmy koło muszli klozetowej, mokrej i cuchnącej /w tej celi była kanalizacja/. Gdy trochę się uspokoiło ludzie zaczęli usypiać. Ja kucnąłem sobie i czekałem do rana. Rano zrobiło się troszkę jaśniej. Oświetlenie było bardzo kiepskie - okno zabite deskami, tak że widać było tylko skrawek nieba.

Zaczął się monotonne więzienna życie. Wikt okropny. Rano jakaś woda, wstępne to, cuchnąca, tzw. "kawa". Czarny wywar z żołądki chyba. To plus kawałek czarnego chleba stanowiło śniadanie. Obiad - chochła śmierdzącej nalewki, bez maki. Jedzenie pod psem. Tak okropne, że kto przychodził nowy nie jadł tego tak długo jak mógł wytrzymać. Celka była mała, miała może trzy na pięć metrów. Musieliśmy podginać nogi, żeby się położyć w dwa rzędy. Było nas w niej do 50 osób.

Apel poranny - liczenie, potem spacer - nikt nam tego nie kazał, to już był taki zwyczaj panujący wśród więźniów. Robiło się koło i ludzie szli, prawie jeden na drugim. Było to wyrozumowane, że trzeba się troszkę ruszać. Potem obiad i wieczorem, gdzieś koło piątej, znów ta "kawa". Jedyną atrakcją było wycaytywanie na "dąpros". Drzwi się otwierały i pędało: -"Więzień na bakwa Ba", kiedy zaś na B musiał podchodzić do strażnika i podawać swoje nazwisko. Gdy strażnik trafił na właściwego człowieka to go zabierał. Nazwisk nie używano./xx.../

Pobył skracaliśmy sobie opowiadaniem. Ludzie opowiadali - jak w każdym chyba więzieniu - swoje przeżycia, wspomnienia z domu, czy na przykład opowiadali co i jak jedli - to ostatnie niektórych denerwowało. Opowiadaliśmy sobie też żarty. Każdy miał wyznaczoną turę opowiadania i tak się skraczało bezładnie nudny czas.

Aresztowano mnie w okresie przedwigilijnym, miałem już kupioną

choinkę. Pomimo, że nie wolno nam było śpiewać, to jednak w wieczór wigilijny zaczęto cicho, mурmurando śpiewać kolędy. Najpierw w naszej sali. Potem te kolędy mruczone, śpiewane, coraz głośniej i głośniej. Przez otwarte, mimo zimy, okno dochodziły głosy z innych sal. Po krótkim czasie słychać było jak całe więzienie śpiewało kolędy. Kolędy pełne gorczy, smutne, powolne. Do tego dołączyli Ukraińcy, śpiewali razem z nami polskie kolędy a gdy myśmy przestali, to z niektórych sal słychać było ukraińskie. Strażnicy pieklili się. Gonili z celi do celi, ale jak w jednej śpiewy trochę przycichły, to w innej się rozlegały. Nie mogli sobie dać rady. To było troszeczkę ~~XXXXXX~~ kę krzepiące na duchu, ale ani sobie, ani nikomu innemu nie życzyłbym takich przeżyć.

Odgłosy dobiegające nas przez okna były czasami tragiczne. Raz, późną nocą, była druga czy trzecia w nocy, kogoś torturowali. Ten więzień strasznie krzyczał, nie wiem czy go bili, czy streszyli. Straszne krzyki, potem cisza. Potem odgłos polewania wodą i znów krzyk. Znow cisza. Trwało to wszystko chyba <sup>ponad</sup> e godzinę. Mimo, że siedziało tam wielu sterych więziennych wygów, to wszyscy stracili humor, nikt nie mógł spać. Co pewien czas rozlegał się ten straszny krzyk. W <sup>naszej</sup> celi panowała grobowa cisza.

Oczywiście byłem wzywany na "dopyty". Pierwszy "dopyt" miał ze mną ten, <sup>ankawidysta</sup> który mnie aresztował. Cywil, w futrzanej czapce, chudy, blade, o gruźliczej cerze. <sup>Lejnant</sup> ~~Lejnant~~ Rozłoz /przynajmniej tak się przedstawiał/. Miał przyklepione do języka te propagandowe bzdurstwa, których używali na wiecach. Trochę mnie straszyl. Mnie w ogóle nie bito, jedynie straszono. Próbowali mnie przypisać do organizacji, razem z Korbeckim. Potem śledczy się zmieniali ale pytali cały czas o to samo. Z piętności razy byłem wzywany na przesłuchanie i zawsze w nocy. To trwało zwykle z pół godziny, trzy kwadransy. Światło padało mi prosto w oczy. Śledczy siedział w cieniu i obserwował mnie. Śledztwo odbywało się co dwa, trzy dni. Innych, zwłaszcza aresztowa-

nych <sup>za pracę w,</sup> organizacji, czy to Polaków, czy Ukraińców - <sup>dotkliwie</sup> było.

W mojej celi był m.in. ojciec Korbeckiego. Był wtedy chory, chyba na cukrzycę, polegał cały czas. Potem mnie nawet wziął koło siebie, leżeliśmy razem. Trochę mnie instruował, żebym nic nie mówił. Było też dwóch Ukraińców, nacjonalistów, inteligentów, których straszliwie bili. W porównaniu do nas, do Polaków, byli oni wprost katowani. Przynoszono ich z przesłuchania <sup>pótpytanymy</sup> na desce. Potem pięć-sześć-siedem dni leżeli, nie mogli wstać. Wzywano ich na "doprosy" dość często. Za każdym razem wracali nie o własnych siłach. Często zdarzało się, że wstawiali nam ludzi rzekomo z innych cel, którzy u nas siedzieli dwa-trzy dni. To byli szpicle, których wszyscy się wystrzegali. Pewną część więźniów dostawała paczki z domów. Jednak te straszne warunki powodowały, że wśród ludzi nie było litości. Każdy bał się o siebie i trzymał to, co dostał na czarną godzinę. Były przypadki, że ludzie się dzielili ale nie ze wszystkimi. Ze swoimi kumplami więziennymi lub ze znajomymi z wolności. Ponieważ byłem wzięty z ulicy, więc nie miałem niczego. Ubrany byłem w wiatrem podszyty peltocik - a zima <sup>robota się</sup> wtedy straszna. Nie miałem także żadnego jedzenia, przez cały czas byłem wyłącznie na tym więziennym wikcie.

21 stycznia, około dwa tygodnie przed wywózką, przerzucono mnie do innej sali. Znalazłem się wtedy na I piętrze w celi nr II174. Tam zastałem ludzi, którzy potem wraz ze mną zostali wywiezieni do łagru. Był tam przede wszystkim mój profesor gimnazjalny, z 8 gimnazjum, polonista i romanista, Kazimierz Brodzki. Zostałem w niej również prof. Kozikowski, z żoną - doc. Kozikowską. Oboje byli pracownikami naukowymi Politechniki Lwowskiej. Siedział prof. Frybyłowski, który niedawno zmarł w Krakowie. Tam też spotkałem się po raz pierwszy z dr Waligórskim, który był lekarzem w Gródku Jagiellońskim. Później jechał on ze mną w jednym wagonie. Był tam także fryzjer, utykający na jedną



nozę, który potem został fryzjerem obozowym - Szczotka i jego brat, z szwada drukars. W sumie było nas w tej celi, większej niż ta w piwnicy, ze 60 osób. Tam, w czasie wieczornego apelu, gdy byliśmy liczeni i musiskiem stęnąć <sup>o szeregu, zastawie i;</sup> przewróciłem się. Byłem już tak wycieńczony, że zrobiło mi się słabo, pociemniało w oczach i upadłem na podłogę. W trakcie tego jak dozorca chodził, liczył nas i coś tam gadał. Koledzy mnie podnieśli, podtrzymali, ale widząc, że wiszę im na rękach - posadzili mnie. "Pieriewierkę" przetrwałem na siedząco. Wtedy profesor Kozikowski coś tam powiedział do syna i ten przyniósł mi kawałek kromki chleba. Mieli ten chleb w jakimś woreczku. Tuż przed samym wywiezieniem dostałem pierwszą paczkę <sup>z domu</sup>. Byłem tym bardzo zdziwiony i było mi bardzo przyjemnie, że matka wie gdzie ja jestem i że potrafiła dotrzeć do mnie. Trochęczkę mnie podreperowała. Tylko, że matka upiekła ciabak, co nie jest pożywieniem dla głodnych ludzi. Współwięźniowie kazali mi napisać na liście rzeczy w paczce, którą musiałem podpisać, iż otrzymałem przesyłkę - "bolszaje cziornowe chliebe". Trzeba to było pisać greckim alfabetem, którego nigdy dobrze nie znałem, więc raczej rysowałem litery niż pisałem. Matce odczytali to i dopiero wtedy zrozumieli, że trzeba to inaczej traktować. Zdążyła mi jeszcze podać drugą paczkę, gdzie już był bochenek czarnego chleba, skłonina w puszcze, cebula i ciepłe palto nieżyjącego ojca. W sali II/ siedzieliśmy stosunkowo krótko.

3 lutego 1945 r. kazali nam się zbierać, około godz. 11, i zaczęli wywozić samochodami. Wieźli nas na skrzyni ciężarówki, przykrytej plandeką ale był wolny. Siedzieli tam dwaj czerwonoarmiści z karabinami. Można było oglądać ludzi normalnie chodzących po ulicy, to podnosiło na duchu. Praywiekli nas na Dworzec Czerniowiecki, to był dworzec stacji towarowej i stąd zwykłe szły wywózki. Wyładowali nas z samochodu i pod karabinami ~~czerniowiecki~~

przysiadaliśmy do poszczególnych wagonów. Pociąg był tak długi, że nie widziałem jego końca. Wagony były okropne, bydłące. Ubikacja zrobiona w ten sposób, że zasunane drzwi były niedomknięte do końca i w <sup>szparę</sup> była wstawiona abita z czterech długich desek kwadratowa rura. Pozostawiona szpara była zabita deskami. Niby to drobna rzecz, ale to było strasznie uciążliwe w korzystaniu. Byli wśród nas ludzie starsi, chorzy, którzy w tym stale trzęsącym pociągu nawet nie mogli się jechać <sup>jechać</sup> zajątkować. Na dworcu, przed odjazdem, ciągle nas przeliczano. Wszyscy mówili, że wywożą nas na Sybir. Jakiś starszy pan krzychał: - "Ludzie! Piszcie listy do swoich, żeby wiedzieli, że nas wywożą na Sybir!" Masek więźniów pisało te listy. Jeszcze na dworcu powyrzucali je, przez szpary koło ubikacji. Ja nie miałem czym <sup>i na czym</sup> pisać. Potem, po moim powrocie do Lwowa, opowiadano mi, że enkawudysty chodzili wtedy po dworcu i zbierali chyba sześć worków karteczek pisanych przez wywożonych do swoich rodzin.

4 lutego <sup>jeszcze</sup> w nocy wyruszyliśmy ze Lwowa. Już po ruszeniu pociągu jakiś jegomość jadący ze mną pyta się: - "Czy Pan napisał list do domu?" - "Skąd, proszę Pana. Nie mam czym i nie mam na czym pisać, więc nawet nie próbowałem". - "Nic Pan nie napisał?" - "Nie!" Wyjął wtedy z kieszeni kawałek udatanej karteczki i dał mi małą ogryzek chemicznego ołówka. Już się zszarotało szarota robić więc napisałem drukowanymi literami ten liścik. Musiałem nadgryzać ten kawałeczek ołówka. Napisałem na adres mojej matki /z jednej strony/ i na adres mojej ówczesnej dziewczyny /z drugiej/. Pisałem im, że wrócę niedługo, że wyjeżdżam sam, żeby wiedziały iż nie ma mnie już we Lwowie. Wyrzuciłem to <sup>po godzinnej jeździe,</sup> już za miastem na trasie w śnieg. Po czterech dniach ten list został przyniesiony we Lwowie na adres mojej aktualnej żony. Przyniosła go mała dziewczynka. Zanim domownicy zorientowali się co to jest, oddawcy uciekła.

W moim wagonie m.in. jechał kierownik grabarzy /grabarza?/ a

Cmentarz Życzkowskiego. Świński blondyn, o otwłym byczym kar-  
ku, z krótko ostrzyżonymi włosami. Znałem go, bo gdy mój ojciec  
zmarł podczas okupacji to ten właśnie człowiek załatwił wszy-  
stkie czynności związane z pogrzebem. Nazywał się prawdopodobnie  
Jan Wieczorek. Ten grabarz był u nas starszym wagonu. W każdym  
wagonie jeden z więźniów został wyznaczony przez konwój jako  
odpowiedzialny za utrzymanie porządku. Wagony były zimne, niczym  
nie opalane. Na podłodze nie było nawet słomy a jedynie gołe de-  
ski. Ludzie spali siedząc w kucki. Były dwa okienka, częściowo  
zabite deskami, ale jak się podciągnęło na rękach, albo podśedzi-  
li wspaniężniowce to można było coś zobaczyć.

Cała ta jazda była okropna. Przede wszystkim nie mieliśmy  
wody. Ta podróż nauczyła mnie, że woda jest niezwykle ważnym ele-  
mentem. Ludzi ogarniało niesamowite pragnienie, tym bardziej że  
do jedzenia dawano nam tzw. "solotki". To były małe ryby,  
jak sardynki, taki chwast rybi, surowe, wplątane w glony morskie  
i posypane solą. Było to bardzo obficie zasolone, bo inaczej by  
się zepsuło. Były one nam serwowane razem z tymi glonami, w ca-  
łych ~~porcjach~~ <sup>skrynicach</sup>. Gdy ktoś nie mógł powstrzymać głodu to jadł je i  
dostawał straszliwego pragnienia. Po kilku dniach nie otrzymywa-  
nia wody na każdym postoju rozlegały się straszliwe krzyki. Wył  
wagon za wagonem. Z daleka słychać było walenie w ściany i okrzy-  
ki ś: -"Towarzystwo wody! Wody! Dawajcie wody!" oraz przekleństwa.  
Gdy już cały pociąg tak strasznie krzyczał to zaczęli nam dawać  
śnieg. Konwojent otwierał drzwi i wrzucał wiadro śniegu na pod-  
łogę wagonu. Pierwszą taką ucztą wyglądała w ten sposób, że lu-  
dzie rzucili się <sup>podobnie</sup> jak wściekłe psy na mięso i żarli <sup>ten</sup> śnieg gębami.  
Jedło może 12 czy 15 osób a reszta usiłowała się dopchać. Prze-  
wracali się, odpychali. Jak w palarni. Wszyscy słabi, <sup>ciężcy</sup> a takich  
było wielu, od razu zostali odepchnięci. W końcu "starszy" nasze-  
go wagonu, ten grabarz, zdenerwował się i nawet komuś dał w mordę.

Doprowadził jednak do tego, że <sup>zrobił się wielki</sup> porządek i każdy musiał dostać swoją porcję. Podchodził, brał w garść śnieg i odchodził. Jeszcze na terenie Polski, w czasie jazdy, <sup>w nocy</sup> pociąg się zatrzymał <sup>(w szarym polu)</sup> nagłe. Usłyszeliśmy strzały, krzyki, zaczęli rzucać rakiety. W pociągu zrobiło się zupełnie jasno. Staliśmy w szarym polu dobrą godzinę. Okazało się - dowiedziałem się tego dopiero w lagrze - że z jednego z wagonów więźniowie uciekli. Wyrwali deski z podłogi /wg jednej wersji/ czy też wyłamali je w bocznym okienku /wg innej/. Uciekło czterech czy pięciu ludzi, których prawdopodobnie nie złapali. Po tej ucieczce była bardzo silna kontrola wagonów. Apelę, liczenie więźniów zaczęli robić w ohydny, chamski sposób. Byli bardzo brutalni. Gdy zaczynało się sprawdzanie wszyscy musieli przejść w jeden kąt wagonu i stać tam ściśnięci człowiek przy człowieku. Żołdaci kopali każdego za rękę i rzucali w drugi kąt wagonu, tak że delikwent <sup>uderzał ciałem</sup> o ścianę. Niektórzy byli chorzy, tak że przewracali się przy tym. Ci żołnierze byli zupełnie inni, niż ci, których mieliśmy możliwość oglądać we Lwowie. Były to chyba jakieś oddziały syberyjskie. Nosili białe kożuchy z barenów i baranie czepki. Określali siebie jako "czerezyczejka" czy też jakimś innym terminem z okresu bezpośrednio po rewolucji, kiedy powstały te oddziały. Patrzyli na nas z absolutną pogardą. "Chowajcie się, bo jakby byli narodem penów a nie narodem niewolników."

W trakcie jednego z takich apeli okradziono mnie. Nawet się poskarżyłem ponieważ byłem pamiętany jako ten młody chłopiec, który zemdlewał, któremu zrobiło się słabo i z tej racji miałem trochę współczucia u ~~więźniów~~ współwięźniów. Nasz "starszy" zdenerwował się. Pamiętam jak krzyczał: -"Widzicie, że człowiek jest osłabiony, przewraca się. Jak można mu ukraść takie rzeczy?! Jak złapię za mordę to..." Oczywiście nikt się do kradzieży nie przyznał. W nocy <sup>gdy</sup> wszyscy śpali ~~my~~ nagle <sup>po</sup> czułem, że coś na mnie upadło. Był to właśnie mój worek, ~~zła, że puszy. Wszystko wyjedzono, zostało jedynie puszka dla~~

upada. Był to właśnie mój worek, tyle że pusty. Wszystko wyjedzo-  
ne, zostało jedynie pudełko ale też bez <sup>smalcu</sup> ~~smalcu~~. Złedziej w <sup>niektórzy</sup> ~~niektórzy~~  
jeszcze butem solanki tej pudełki. <sup>do śniegu</sup> Chciałem odgiąć te zgniecione  
ścianki, żeby się zorientować, czy coś zostało i rozciąłem sobie  
<sup>opunkli</sup> ~~opunkli~~ palce. W przeciągu bardzo krótkiego czasu dostałem kakaże-  
nie krwi. Miałem wysoką gorączkę, taką że nawet nie mogłem przeł-  
knąć śliny. Na ręce zrobiły mi się <sup>czarne</sup> ~~czarne~~ pręgi. Dr Waligórski powiedział,  
że nic mi nie może pomóc, bo nie ma żadnych leków. Zaordynował  
więc jedynie zimne okłady. <sup>ze śniegu</sup> Zostało powiedziane, że jeżeli widać  
nam śnieg do wagonu, to trzeba trochę zostawić dla siebie. Rzeczy-  
wiście przy najbliższej okazji dostałem garść tego śniegu i przy-  
kładałem go sobie. <sup>do składowej wagi</sup> ~~do składowej wagi~~ Jakos to wytrzymałem, młody organizm zwalczył  
infekcję. W czasie jazdy gorączka mi przeszła, zaczerwienienie -  
typowe dla zakażenia krwi - ustąpiły.

Nawiasem mówiąc z nami jechał starszy człowiek, 74 letni dzia-  
dek z Zimnej Wody. Chorował już, gdy nas wywożono, mimo to jednak  
został wysłany na etap. Dziadek ten umarł nam z przemarzenia, głodu  
i osłabienia. Nawiązaliśmy konwejentem, że mamy zmarłego i chcemy go  
usunąć z wagonu. Odpowiedź brzmiała: - "Nie, nie <sup>12 ja</sup> ~~12 ja~~" i trup  
tego dziadka jechał z nami aż do Krasnodaru. Koło jego zwłok mu-  
sieli spać współwędźniowie. Taki to był <sup>war</sup> ~~war~~ XX wiek.

Na tych stacjach do których dojeżdżaliśmy musiano zapowiadać  
nas jako transport Niemców. A staliśmy zwykle dłużej, bo  
pierwszeństwo przejazdu miały transporty wojskowe - wojna jeszcze  
trwała. Podczas tych postojów pozyskaliśmy mnóstwo wiadomości od  
miejscowej ludności wyzywiającej nas od faszystów. Tymczasem w  
transportie tym jechali sami Polacy, nawet Ukraińców wśród nas nie  
było. Jechali ludzie bardzo różni, inteligencji i robotnicy.

Wreszcie 11 lutego 1945 r. dojechaliśmy do stacji docelowej,  
którą okazał się Krasnodar w okrestii woroszyłowgradzkiej w Don-  
basie. Cały nasz transport wielkości 1800 - 2000 osób wysadzano z  
wagonów. Profesor Broczek, który jechał w sąsiednim wagonie, aż

zakamiał ręce gdy mnie zobaczył: - "Stasiu! Jak ty wyglądasz!"  
Widocznie musiałem mieć wygląd trupiszona. On co prawda też nie  
wyglądał lepiej ode mnie. Tam dano nam wreszcie po raz pierwszy  
"kipiszek". Przywiesili brudne puszki po "swinno<sup>stosowane</sup>j tuszonec" jako  
naczynia i nalewali do nich gorącą wodę, tak że trzymać to trze-  
ba było przez jakąś szmstę. Piliśmy. Czułem jak ta życiodajna woda  
rozchodzi się po ciele, zaczyna krążyć po żyłkach. To było wspenia-  
łe uczucie. Nigdy żadna ucztą nie dała mi tyle satysfakcji, takie-  
go poczucia błogości, jak ten moment, gdy piłem tą gorącą wodę.  
Wszyscy onienieli i tylko pili. Było to nasze pierwsze pożywienie  
po drodze, które nas niesamowicie wzmocniło.

Rozdzielono nas tam na grupy, wyczytywano, sprawdzano według  
list - wszystko to trwało cały dzień. W końcu zostaliśmy przepę-  
dzeni do lagru. Lagier otoczony <sup>cał</sup> drutem kolczastym, <sup>został</sup> ogrodzony na  
nasz przyjazd. Stały w nim dwa duże murowane budynki, z kamienia,  
legione chyba gliną. Były one jednopiętrowe. Jeden został przeznac-  
zony dla mężczyzn, drugi dla kobiet. Ponieważ kobiet było mniej,  
to w ich budynku została wydzielona część na szpital. Pomędzy  
budynkami znajdował się plac, na którym odbywały się apele.

Po <sup>narym</sup> przyjeździe <sup>zaczęła pracować</sup> komisja kwalifikująca do pracy.  
Nie odbywała się to jednak zbyt szybko. Dopiero 26.II. przydzie-  
lono mnie na "szlachtę 154" jako "Zebajszczika", górnik<sup>ów</sup> przedowe-  
go. Potem znów jakaś zwłoka, bo mam zapisane, <sup>w swoich laprowych uwzględniały</sup> że początek pracy  
dopiero 6.III.

Prawie od samego początku zaczęła nagminnie występować wśród  
więźniów choroba, której początkowo nasi lekarze nie potrafili  
określić a potem nazwali dystrofią. Była to po prostu choroba  
głodowa. Objawami charakterystycznymi były krwawe biegunki, bardzo  
duże wychudzenie i olbrzymie <sup>zastoinowe</sup> obrzęki nóg. Obrzęki takie, że gdy  
się przycisnęło palec do dolnych części kończyn to po jego cofnię-  
ciu zostawał w ciele dołek. Choroba ta szczególnie ostro przebiega-  
ła u ludzi starszych. Zczęśliwi oni masowo umierali. Mieliśmy bardzo

wiele pogrzebów, do kilkunastu dziennie. Wyglądały one tragicznie. Odbywały się ~~zawsze~~ w nocy, żeby ludzie z lagru ich nie oglądali. Dotej pracy wybierano młodych, najbardziej sprawnych więźniów. Sciągano ich w nocy z prycz. Musieli łądować po dwie, trzy osoby na wózek, którym w dzień przywożono chleb z piekarni do lagru. Ponieważ dzieło się to w nocy, kiedy człowiek miał prawo do odpoczynku, bo przecież rano znowu trzeba było iść na zmianę do kopalni i ponieważ była to zima, zmarznięta ziemia - więc grzebano zwłoki bardzo płytko. Ludzie starali się jedynie wystukać płytką dziurę kilofami, na jakieś 20 cm, tak żeby obłożyć ciężko ziemią. Nie pozostawiano żadnych śladów, że w danym miejscu jest grób. Dookoła obozu był step i na nim Bóg wie ile grobów. Często przeszedł trzeń dookoła lagru była nimi usiana. Wiele razy brałem udział w pochówku, były takie noce, kiedy trzeba było pochować 10-11 zwłok. Gdy zrobiło się cieplej to śmiertelność nieco spadła, ale w te początkowe dni naszego pobytu, kiedy jeszcze były wichry... W trakcie jednego z zimowych pogrzebów wieźliśmy starą kobietę i mężczyznę. Trupy były sztywne jakby z drewna. Konwojent postanowił "zszarżtować". Stwierdził, że "budiet kuczszje" jeśli babcię pochowamy brzuchem do góry a na nią położymy dziadka. "Podiet' staruszkam przyjemniej".

Dzięki temu, że byłem młodym człowiekiem i jadłem "selotki", które dawano nam również w obozie, to jakoś się trzymałem. Niektórzy współwięźniowie, po doświadczeniach z transportu, nie chcieli ich jeść, mimo że w lagrze mieliśmy swobodny dostęp do wody. Były tam lokalne wodociągi. Poza wspomnieniami swoją rolę odgrywało obrzydzenie - te ryby były przecież surowe. Ja jako student weterynarii wykombinowałem sobie, że w lagiernianych warunkach jest to jedyne źródło jakichkolwiek witamin. Dlatego jeżeli ktoś odstępował swoją porcję to brałem ją i jadłem, chociaż było to rzeczywiście świnstwo nie z tej ziemi. Jednak ta postawa nie ure-

towarze mni<sup>od choroby</sup> wystąpiły u mnie obrzęki i objawy dystrofii, tak że poszedłem do szpitala. W swych notatkach mam zapis, że 23.III zwolniono mnie z pracy w kopalni do szpitala. Gdy mnie trochę podreperowali, to wróciłem do pracy na tzw. "stroitelstwo", tartak mieszczący się przy kopalni. Pracowałem się tu jednak na powierzchni.

Wymarsz do pracy do kopalni odbywał się w następujący sposób. Ustawialiśmy się przed bramą obozu czwórkami, jeden taki wychodzący oddział liczył około 100 osób. Otoczeni byliśmy przez sowieckich żołnierzy uzbrojonych w karabiny z bagnętami. Szef wartki wygłaszał zawsze zwyczajową formułę: - "Tiszie! Tiszie!". Najpierw wzywał, żeby się uciszyć, bo w tej kolumnie panował zwykle rozgardiasz, spotykali się tam i mężczyźni i kobiety. - "Wnimanie! Wnimanie!" Krzyczał to tak długo aż ludzie ucichli. Początkowo nie wiedzieliśmy zupełnie, ~~co to~~ <sup>że mamy odpowiadać</sup> i potrafił powtarzać to wezwanie z 10 razy. - "Wnimanie! Priedupriędszju! Za niepodczinie nie trisbowaniu konwoje i najmiejshu papytku pabiege konwoj pri nimejet oruzha. Panistno?!" Początkowo nie wiedzieliśmy o co chodzi, zrozumieliśmy tekst i w porządku. On jednak uparcie powtarzał: - "Panistno?", aż więźniowie nie odpowiedzieli chórem: - "Da!" Wtedy padała komenda: - "Szagom marsz!" W początkowym okresie naszej pracy ten enkawudysta potrafił z rosyjskim uporem dziesięć i piętnaście razy powtórzyć tę formułę zanim więźniowie <sup>(nie)</sup> odpowiedzieli: - "Da!" Czasami celowo gadaliśmy, aby cały ten obrządek przedłużyć.

Następował <sup>wreszcie</sup> wymarsz do roboty. Łatem to było pół biedy - szło się na wprost przez step, bo kopalnie było widzieć na horyzoncie. Odległość do nich z obozu wynosiła około 5 km. Porzej było zimą. Szło się na przełaj, brodząc w strasznym śniegu, po kolana albo i wyżej. Drogi żadnej nie było. Jedyne ułatwienie jakie mieliśmy, to takie, że szliśmy po śladach poprzednich grup. Do roboty czasami się wychodziło w nocy, a czasami w dzień.



Praca w kopalni trwała całą dobę, dzień i noc, zmieniały się tylko załogi. Jedną zmianę trwała 10 godzin. Nas wszystkich, gdyśmy przyszedli z łagru kierowali <sup>do pracy</sup> na jeden odcinek. Po nas mogli kierować grupy z innego łagru na inny odcinek w tej samej kopalni jednak nie wiedzieliśmy czy tak było, <sup>rzeczywiście</sup> bo nie mieliśmy kontaktu pomiędzy poszczególnymi oddziałami. <sup>Chcieliśmy o niemożliwość spotkania z innymi oddziałami.</sup>

Początkowo pracowałem na kopalni "154". To była bardzo prymitywna kopalnia, bez windy. Schodziło się do niej pochyłym korytarzem o długości 2 - 3 km o spadku około 45 stopni. Na dole były chodniki. Czołgało się nimi na łokciach i na kolanach, znoważ pod kątem 45 stopni mniej więcej, ale pod górę. Wynikało to z tego, że pokłady węgla <sup>były 8. wiskę</sup> miały grubość ok. 60 - 70 - 80 cm i były pochyłe. Byliśmy zaopatrzeni w latarki naftowe, tzw. "kopiłki". Mieliśmy także ubrania robocze, spodnie i bluzy ze sztywnego brezentu, bo ta kopalnia była bardzo mokra. To ubranie bardzo szybko nawilgało i robiło się takie sztywne, że <sup>bardzo ciężko</sup> ~~nie~~ było w tym chodzić. Urobek zrzucano się do rynien, spadał nimi do głównego korytarza. Tam już były położone szyny, po których kursowały wagoniki wyciągane za pomocą prowizorycznej <sup>katowicki</sup> windy na powierzchnię. Na powierzchni wyrzucali węgiel z wózków na hałdę a z niej ładowali do wagonów kolejowych. Do kopalni była bowiem doprowadzona bocznicą kolejowa.

Czasami można było usłyszeć wielki huk w tej rynnie, gdy wrzucono do niej zbyt dużą bryłę węgla. Teke bryła potrafiła <sup>spadając</sup> wyskoczyć z drewnianej rynny i spadać chodnikiem wybijając po drodze stęple. Słyszano było wówczas hurkot zgr lecącego węgla i okrzyki: - "Wнимание! Wнимание! -nie! Uwaga! Uwaga!" Dochodziło też do innych wypadków. Zdarzyło się, że na poprzedniej zmianie pracowali Rosjanie, którzy dynamitem wysadzali ścianę. Zdażyli załadować dynamit i właśnie nastąpił koniec ich pracy. Przyszła następna zmiana ale oni odchodząc nie nikomu <sup>o tym</sup> powiedzieli, że wszystko jest przygotowane do odpalenia. Jeden z naszych, pracujący tak jak ja jako "zabojszczyk" nie o tym nie <sup>wiedział</sup> wiedząc ~~wiedział~~

zaczął pracować kilofem. Trafili w ładunek i doszło do eksplozji. Strasznie pokiereszowanego wywieziono go z kopalni - ten moment widziałem własnymi oczami. Słyszałem, że podobno wyżył.

Za pracę w kopalni, pomimo że byliśmy więźniami, otrzymywaliśmy wynagrodzenie. Raz na miesiąc naliczano nam pensję - zależało to od stopnia zaangażowania w wykonaniu planu. Myśmy się specjalnie do pracy tam nie przykładali ale liczone nasze wyniki łącznie dla całej kopalni, łącznie z wolnymi. Na podstawie notatek z tamtego okresu mogę przytoczyć ile to wynosiło. Miesięcznie otrzymywałem 50 - 60 rubli. Należy wziąć pod uwagę, że bochenek chleba kosztował tam wtedy ok. 70 rubli. Zapłata za tą robotę była więc po prostu śmieszna. Nie dość tego - za te pieniądze nie mogliśmy nic kupić. Nie było tam żadnej kantyny a myśmy nie mieli możliwości dotarcia do sklepu. Pieniądże wobec tego były wykorzystywane w ten sposób, że od miejscowej ludności - pracowników kopalni - kupowaliśmy np. gotowaną kukurydzę, którą przynosili jeszcze ciepłą. Dla nas kupienie takiego kaczana było prawdziwym wyczynem. Kupowało się też od wolnych kawałki chleba lub mleko.

Górnicy dostawali 1 kg chleba na dzień. Otrzymywaliśmy go rano. Była to chyba 1/4 lub 1/5 bochenka. Grubość takiej kilogramowej kromki wynosiła około 5 cm. Nigdy nie widziałem tak ciężkiego chleba. Był on bardzo mokry. Wszyscy inni, nie zatrudnieni na dole - np. pracujący 12 godzin w tartaku - otrzymywali dziennie po 600 g chleba. Przy zupełnym głodzie, przy picciu tylko gorzkiej lury mającej imitować kawę i wstrętnej śmierdzącej wody udejącej zapach /była to jakaś zalewajka z maki/ nasza sytuacja była bardzo ciężka. Wobec tego każda możliwość zdobycia witamin była cenna. Ktoś kiedyś krzyknął, że w kuchni - kuchnia była na dole budynku, jej okna znajdowały się na wysokości ziemi - wyrzucają dla ludzi kaczany z kapusty. Ludzie momentalnie ustawili się w kolejkę. Pamiętam przedstawicieli lwowskiej nauki stojących tam po te odpa-

dy. Np. prof. Makarewicz z siwymi wąsiskami jak u szlagona, wysoki, widać, choćby po zwiśniętych podbródkach, że kiedyś otyły, prof. Fryze i inni. Co pewien czas z kuchni wyrzucano te kaczany, to co u nas wyrzuca się do śmietnika lub daje świniom. Każdy brał i odchodził, panował tam nawet względny porządek. W pewnym momencie <sup>te frykany</sup> skończyły się. Pamiętam tych naszych profesorów z zaważdzionymi twarzami, smutnych i zrezygnowanych, gdy się rozchodzili. Kuchnia przygotowywała jedzenie nie tylko dla nas ale i dla całego lagrowego personelu. To dla nich pewnie była ta kapusta. Dostawali także "swinną tuszonkę", my z niej mieliśmy tylko <sup>puszki</sup> puszki, które służyły nam jako naczynie.

Wydawałoby się, że na wolności było lepiej. Kiedyś w kopalni nasz "przedstawnik" gdzieś poszedł. Wiedzieliśmy, że ma go nie być dłuższy czas, więc gdy tylko zniknął przestaliśmy pracować /to było nasze naturalne postępowanie w takich wypadkach/. Zgasiliśmy wszystkie "kopiłki" oprócz jednej, położyliśmy się i zaczęliśmy rozmawiać. Bardzo narzekaliśmy na życie w lagrze. Był z nami Rosjanin, starszy już człowiek, który tam pracował jako już zwolniony z lagru. On miał pięćdziesiąt parę lat a my wszyscy po dwadzieścia - dwadzieścia dwa. Słuchał co mówimy, <sup>aż</sup> w końcu nie wytrzymał i powiedział: - "Kak wy możietie tak skazat? Wy paluczajetie każdowo dnia kilogram chleba! A wy jesuczto gawaritie czto płocho w lagierie!" Jednek nie mógł nas przekonać więc jako koronny argument dorzucił: - "A my w tridest' tristetim gadu kuszali swoich taweriszczej!" Miby o kanibaliźmie to myśmy słyszeli, ale rozmawieć z kimś, kto jełł swojego przyjaciela...

Wolność niewiele im chyba dawała. Wolni np. nie dostawali żadnych posiłków. Dostawali jedynie pieniądze, z których musieli opłacić mieszkanie i kupić coś do jedzenia. Kupić to znaczy godzinami stać w kolejce po chleb. Taką samą nędzną egzystencję jak i naszą.

Najtragiczniejszy był los kobiet. Były one używane w kopalni

Praca górniców pracujących na "przodku".

jako "liesogony" - dostarczycielki drewna, "stojek" czyli stemple.  
 Jak wspominałem kawałek węgla był tam niski, więc z "stojki" to były  
 krótkie kawałki belek, <sup>o długości 60-80 cm.</sup> Kobiety musiały je dostarczyć pracującym  
 na przodku "zabojszczykom" - rębaczom. Rębacze wykopywali węgiel  
 i zaraz następną górniczy podstawiali stemple. Serce mi się kra-  
 jało, gdy oglądałem te kobiety. Spocone, zziębnięte, peźnące na  
 łokciach i na kolansach i ciągnące pod pachami po dwie belki z  
 każdego boku. Musiały je oddać na przodku. Najpierw więc schodzi-  
 ły te 2 km do kopalni a następnie wdrapywały się do góry tymi  
 niziutkimi i wąskimi korytarzykami. Dozorcy tylko poganiali:  
 - "Skorciej! Skorciej!"

Głosniki

23.IV. po szpitalu przeniesiono mnie z pracy w kopalni na  
 "retroitielstwo" - tartak. Robiliśmy tam właśnie "stojki" czyli  
 stemple, cieliśmy też jakieś deski. W tym okresie przeżywaliśmy  
 zakończenie wojny. Wiedzieliśmy o tym 8 maja. W obozie mieliśmy  
 głośniki, które okrągłą dobę nadawały, <sup>sowieteli program radioru</sup> dzień i noc bez przerwy.  
 Stały <sup>na</sup> ~~na~~ <sup>prywarce</sup> ~~na~~ <sup>do stajni</sup> na dworze, <sup>jak w Lwowie</sup> na ulicach. Były jakieś  
 straszne mityngi, grali hymny - więc podejrzewaliśmy, że coś się  
 dzieje. Rzeczywiście 8.V. o godzinie 24 podali w radiu, że "wajna  
 akanczałaś". 9.V. rano była pierwsza oficjalna, ze strony władz  
 obozowych, wiadomość o zakończeniu wojny. Gdy zabraliśmy się na  
 porannej "prowierce", na placu apelowym - stamtąd dopiero wyrusze-  
 liśmy do pracy - to powiedziano nam, że wojna "akanczałaś". Pamię-  
 tam, że wystąpiła wtedy jedna z kobiet, która powiedziała, że  
 skoro się wojna skończyła to już na pewno pojedziemy do domu.  
 Padła na to odpowiedź: - "Nie laja." Wcale nas nie wypuszczali.  
 Później jednak ludzie zaczęli <sup>pojedynczo i małymi grupkami</sup> wyjeżdżać do Lwowa. W swoich zapis-  
 kach mam notatkę, że 31.V. odszedł pierwszy transport do Lwowa.  
 Oczywiście myśmy nie mieli żadnej pewności, czy ci ludzie jedą  
 do domu czy nie. <sup>też</sup> <sup>nie</sup> <sup>pojechali</sup> <sup>do</sup> <sup>innego</sup> <sup>lagru?</sup> <sup>Także</sup> <sup>przypadli</sup> <sup>tu</sup> <sup>się</sup>  
<sup>zdarzały</sup>

Podczas mojej pracy w tartaku jeszcze jedno zdarzenie zapisało  
 się w mojej pamięci. Pewnego dnia, po przyjęciu do pracy, zastali-

śmy na kapslnianej bocznicy pociąg<sup>towarowy</sup>, który tam zjechał. Mówiono nam, że to przyjechał transport Węgrów do któregoś z okolicznych węgrów /było ich tam multum/. Gdyśmy przyszedli to więźniowie byli już odprowadzeni. <sup>do sąsiedniego wagonu,</sup> Zajęliśmy się pracą i obserwowaliśmy jak z wagonów wyrzucano trupy. Było to straszne! Zorientowaliśmy się, że co najwyżej połowa z tych ludzi mogła być wyprowadzona z wagonów. Połowę wyrzucali martwych. Zrobiła się <sup>śmierć nas</sup> swoistego rodzaju sensacja. Myśmy uważali, że przyjechaliśmy w bardzo ciężkich warunkach i faktycznie chyba w co drugim wagonie zmarł jakiś człowiek. Jednak gdy tutaj zaczęli wyrzucać trupy z każdego wagonu! Pociąg stał tak, że wyrzucali je po przeciwnej stronie niż myśmy patrzyli. Rzucali jednego, drugiego, trzeciego... siódmego... dziesiątego. Potem było ich już tak wiele, że ten stos zwłok sięgał wysokości podłogi wagonu a jeszcze potem zaczęliśmy widzieć ten rosnący stos rzuconych ciał. Musiało to być przynajmniej po 15 czy 20 zmarłych z każdego wagonu. Wg moich notatek miało to miejsce także 31.V. <sup>1945</sup> w tym samym rejonie o tej porze roku było już bardzo gorąco. Ci więźniowie jechali w upale. Myśmy strasznie narzekali, że mamy mróz - rzeczywiście był straszny, sięgał 40 stopni. Ci ludzie jechali w upale, samknieci zapewne jak my i przypłacili to życiem.

3.VII. przeniesiono mnie na dużą kopalnię "2 bis". To była kopalnia zmechanizowana, już dużo głębsza niż "I54", zjeżdżało się na dół windami. Mieliliśmy tam normalne lampy górnicze a nie "kopciłki". Ławy węgle były nieco wyższe, niestety niewiele. Na "szachcie 2 bis" stały już jakieś zabudowania, bo "I54" to była tylko dziura w ziemi. Były tu budynki, wszystko otoczone drutami i wieżyczkami, bo zatrudnionymi w większości byli oczywiście więźniowie. Na tej kopalni był większy urobek, pracowało tu więcej ludzi i łatwiej się było objeść. Po pewnym czasie przychodzimy do kopalni i ustawiają nas na dziedzińcu, będą nas jak zwykle liczyć i przydzielać - ilu na ten "uczastek" - odcinek, ilu na ten. Nagle jeden z kolegów mówi

do mnie: -"Ja nie idę dziś na dół. Jestem taki zmęczony i śpiący".  
- "Jak to nie idziesz?" -"No to chodzi ze mną". Okazało się, że on  
już to praktykował. Weszliśmy <sup>wieprzowiznę</sup> do budynku administracyjnego kopal-  
ni, o ile pamiętam dwupiętrowego, i schodami udaliśmy się na sa-  
mą górę, na strych. Strych był olbrzymi. Nie było tam niczego,  
jedynie ogromne, 30x-centymetrowe belki ułożone w kwadraty, kon-  
strukcja stropu. Położyliśmy się na tych belkach, jak najdalej  
od drzwi i przespaliśmy tam całą szychę. Potem, gdy już o danej  
godzinie górnicy wychodzili, weszliśmy stamtąd i wmaszaliśmy się  
w tłum. Początkowo trochę się bałem ale szybko stwierdziłem, że  
w tym rozgardiaszu i przy wielkiej ilości pracujących można to  
być dość bezpiecznie robić. Nie obyło się także bez "przygód".  
Byliśmy już na tym strychu drugi czy trzeci raz, <sup>(15 VIII 45)</sup> wraz z kolegą,  
który mnie do tego namówił - ~~Stachowski~~ / on potem uciekał  
z łagru, podobno go szapeli/. Siedziemy na tym cichym strychu i  
nagle słyszemy, że otwierają się drzwi. Zamarliśmy <sup>z przerażeniem</sup> \* Cichutko le-  
żymy za belką. Trochę zza niej <sup>jednak</sup> widać. Po strychu chodzi <sup>wtedy</sup> Rosjan-  
ka, prawdopodobnie z administracji. Chodzi i czegoś szuka, podno-  
si spódnicę do góry, trzymając ją pod pachami. Chodzi goła do pasa i  
szuka, szuka. W końcu się zakławiła. Trwało to z kwadrans. Najed-  
liśmy się strachu, bo mogli nas wtedy nakryć. Gdyby tak się stało  
to napewno wyjechaliśmy z tego łagru na jakieś ciężkie roboty.  
Na szczęście w obyło się bez tego. Nasz, Polaków, udział w wyko-  
naniu planu był jak wspominałem niewielki. Ludzie się bardzo "obi-  
jeli", jeżeli tylko było to możliwe. Gdy był obecny "nadstawnik"  
to się kopało, ale jeśli gdzieś poszedł to praca z miejsca usta-  
wała.

Niektórzy z współwięźniów w łagrze zachowywali się jak "kapo"  
w niemiłych obrotach, współpracowali z władzami obozowymi. Pamię-  
tam jednego z nich, faceta o chytrej, zadowolonej gębie. Zokrę-  
glonej bo jeść więcej niż my. Po pierwsze coś tam dostawał za

współpracę a poza tym zawsze dostawał "dubawkę". Jeżeli zostawało coś z wupy, to pytano: - "Kto chce iet dubawku?" i on zawsze, jeszcze zanim to krzyknęli, ustawiał się przy kotle. Jego zaręczoność była tak znana, że więźniowie zaczęli nazywać go "Dubawka". Nie pamiętam jego nazwiska. Odgrywał tam bardzo niepochlebny rolę i ludzie bali się go. Po pierwsze mógł on Sowietaom zawsze donieść na konkretnego człowieka a po wtóre dysponował możliwością przydziału ludzi do karnych robót. Wykonywało się je w czasie wolnym od pracy, było to np. zamiatanie korytarzy. Najgorszą karą jaką dysponował było wylewanie nieczystości z szamba. To wylewanie nieczystości, krwistych, bo tam przecież nagminnie panowała biegunka, czerwotka, było nie tylko nieestetyczne ale i poniżające. Miałem możliwość zapoznania się z tą karną pracą, nie pamiętam już za co mi przydzielono. Letryna była olbrzymia, miała z 15 m długości, wylewało się to wiadrem do rynien zrobionych z dwóch desek. Potem wywożono to szambo traktorem poza teren obozu.

W lagrze kontynuowano przesłuchania, tyle, że rzadziej niż w więzieniu. Były one stereotypowe, pytano wciąż <sup>do zamknięcia,</sup> o to samo. Trzeba się było powtarzać aż do znudzenia. Pojawiali się coraz młodszy śledczy, widocznie oni też byli już znudzeni i wymieniali ludzi na nowych. Pamiętam jak jeden z tych śledczych usiłował mnie "pogłębnić". Przy mnie wziął sobie ogórka, ostentacyjnie kroił go, brał ~~na~~ do ręki, gryzł i patrzył na mnie jakby chciał powiedzieć: "ja mam ogórka a ty nie!" Pewnie miało to mnie jakoś podłamać ale mój uśmiech mu się tylko nie rozśmieszył. Pomyślałem sobie: "żabie, ja nie takie ogórki jadłem". Potem znów zmienili mi śledczego, na jakiegoś młodego blondyna. Temu już zupełnie nie zależało, zapisywał coraz krótsze notatki a przesłuchał. W końcu przestali mnie czytać. W maju 1945 było zakończenie wojny, skończyła się <sup>jak w więzieniu</sup> a myśmy dalej siedzieli. Na nasze pytanie padła odpowiedź: - "Niczego, niczego. Eto nie dla was wojna skonczyła!" Dopiero po jakimś dłuższym czasie koleczy

powiedzieli mi, że mam nie iść do kopalni, bo muszę coś podpisać. Tam była taka reguła, że tych, <sup>w których</sup> następnego dnia mieli nie iść do roboty wyczytywali, bo przez cały czas <sup>śledczy</sup> uzupełniali coś w zeznaniach, wzywali do podpisywania jakichś papierów itp. Dzięki temu wszyscy moi koledzy wiedzieli już, że mam zostać w obozie. Powiedzieli mi, że chyba idę do domu. Nie byliśmy wcale pewni, czy rzeczywiście pojedziemy do domu, ponieważ o niektórych więźniach, którym powiedziano, że jedzą do domu, dowiedzieliśmy się potem, że są w innym łagrze. Mój sąsiad z barsku, Józio <sup>hwa</sup> Tociński, stomatolog niedawno zmarły we Wrocławiu, powiedział wtedy: - "Złuchaj, jak ty już wracasz to daj mi poduszkę." W pierwszej i ostatniej paczce jaką mi matka przysłała <sup>do Władysława w Łowic</sup> dostałem poduszkę. Dałem mu ją a on w zamian oddał mi swoją, tkustą, poplamioną węglem, całą zachlepaną supą. Podczas drogi powrotnej sprzedałem ją na targu w Stalino. Mimo, że była niesamowicie brudna, <sup>zasmarowana</sup> to wzbudziła taką <sup>na baranie</sup> furorę, że noszanie mało się o nią nie pobili. Wrywali ją sobie wzajemnie z rąk. Straznik im się podobała, bo była wyszywana. Dostałem za nią tyle, że przez całą podróż powrotną mogłem sobie za te pieniądze kupić mleko i placki na basarach.

II.IK. zwolniono nas czterdzieści osób. Odstawiono nas do łaźni, żebyśmy mogli się umyć. Przygotowaliśmy się do drogi. Wieczorem wyprowadzono nas z łagru. Nigdy nie wiedzieliśmy na pewno dokąd idziemy, nie powiedziano nam, że jedziemy do domu. Wyprowadzono nas pod konwojem, ale na dworcu w Fresnodonie konwój nasz opuścił, został tylko jeden żołnierz.

Podczas naszego powrotu obserwowaliśmy na stacjach, np. w Kijowie, w Stalino tłumy ludzi oczekujących na "komandirowkę", zezwolenie na przejazd. Bez "komandirowki" nie można się było dostać do żadnego pociągu. W tych czasach dysponentem miejsc był konduktor. Pociąg zatrzymywał się na stacji i wszystkie drzwi wagonów pozostawały zamknięte. Otwierano tylko jedno, w nich stał konduktor i



sprawdzać "komandirówki". Na dworcach działy się dantejskie sceny. Ludzie kocowali miesiąc, półtora miesiąca, a małymi dziećmi. Tam <sup>na stowur</sup> rodziły się dzieci, tam prawdopodobnie umierali ludzie starsi. Myśmy byli eskortowani przez pracownika NKWD, który w zresztą prawie zupełnie się do nas nie wtrącał. Jechał z nami aż do Lwowa. Enkwadysta ten ułatwiał nam dojście do wagonów. Jako transport "enkwadowski" byliśmy bardzo uprzywilejowani w stosunku do miejscowej ludności, czekaliśmy stosunkowo niedługo do jednej doby. W drodze wysprzedawaliśmy się z resztek rzeczy, bo wyżywienie musieliśmy zapewnić sobie sami. Jechaliśmy ponad tydzień. Przez całą drogę obserwowaliśmy transporty wojskowe z Niemiec. Na otwartych lorach wieszono meble i obrazy, niczym nie przykryte, padał na to deszcz. Aż śal było patrzeć, jak te cecka, nieraz pewnie o wielkiej wartości artystycznej, niszczały w niesamowity sposób. Nikt jednak nie przejmował się tym.

19.IX. dojechałem w końcu do Lwowa. Gdy przyjechałem <sup>z dworca do domu</sup> nie zastałem matki w domu. Sąsiadka <sup>nana, p. Huczewska,</sup> ~~zobowiązała~~ mnie do siebie i mówi: - "Na miłość Boską, niech Pan nie pokazuje się matce, bo gotowa umrzeć z wrażeń". Zaczekałem więc u niej s ona poszła aby przygotować na mój przyjazd matkę /.../

Po powrocie z lagru chodziłem po mieście, którego nie widziałem prawie rok. Któregoś dnia idę ul. Pełczyńską obok gmachu NKWD. Tam po aresztowaniu zabrano mi wszystkie rzeczy, na które wydano mi kwit. Nosiłem ten papierek przez cały pobyt w więzieniu i lagrze i nie wykorzystałem go na papierosy, jak to zrobiła zdecydowana większość moich kolegów i znajomych. <sup>Natogowi palane</sup> mieli ~~mieli~~ taką potrzebę palenia, że z tych <sup>swóich</sup> kwitów robili skuręty, bo nie było żadnego innego papieru. Wszedłem <sup>więc</sup> do ~~gmachu~~ gmachu i powiedziałem, że wróciłem z lagru, przedstawiłem im na to dokumenty a teraz chcę, żeby mi oddali moje <sup>zabrały</sup> rzeczy. Czekałem cztery i pół do pięciu godzin. Wyglądało to dość nieprzyjemnie, bo siedziałem sam w pokoju biurowym, do którego co pe-

Nien czas grzechodził jakiś Rosjanin, co rze to inny. <sup>Nie mł wówoje</sup> Wpatrywał  
 się we mnie i wychodził. Jeden z nich nawet siedł na grzećiu mnie i  
 jakiś czas siedził patrząc się na mnie i nie mówiąc ani słowa. Ja  
 patrzyłem na niego. W końcu wyszedł. Nic nie mówili tylko patrzyli  
 jak na małpę w ogrodzie zoologicznym. W końcu po dłuższym czasie  
 pojawił się jakiś soldat i z szarej koperty wysypał <sup>zawartość</sup> ~~zawartość~~ na  
 biurko. "Wasze?" - "Tak, moje." Oddali mi <sup>kwadratowy oja</sup> ~~regalek~~ i srebrny sygnet.  
~~Zatrzymali natomiast~~ <sup>miniaturkę</sup> ~~miniaturkę~~ <sup>z Łowdes, która unosiła od matki.</sup>  
 Podpiszłem odbiór i wypuszczono mnie. Gdy powiedziałem o tym mojej  
 matce, ogarnęło ją przerażenie. W dodatku dwa dni później do matki  
 przyszedł dozorca <sup>szereż</sup> z naszej <sup>profesorskiej</sup> kolonii - "Proszę Pani, byli u mnie z  
 NKWD i wypytywali się wszystko o pani synu." To było powodem, że  
 matka podpisała urzędników w PURSze, gdzie byliśmy już zapisani na  
 wyjazd. <sup>Przypomniało to sprawę</sup> ~~Przypomniało to~~ <sup>sprawę</sup> że w ciągu dwóch czy trzech dni  
<sup>po otrzymaniu dokumentów</sup> ~~spokojni~~ się i wyjechaliśmy ze Lwowa do IRL. <sup>Podróź ta zakończyła</sup>  
 się we Wrocławiu, dokąd przybyłem 1.XII.1945 - i mieszkam do dzisiaj,

Wrocław, lipiec 1988 r.